NR 8 (1932) 24 LUTEGO 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

OFERTY PRACY

BUDOWNICTWO – X

HANDEL – X

PRACOWNIK BIUROWY – X

OCHRONA ZDROWIA – X

TRANSPORT – X

GASTRONOMIA – X

POZOSTAŁE – X

Proj. Marek Sobczyk

ISSN 0208-8045

INDEKS 379433

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

A BEZROBOTNYCH już (prawie) MILION

- SPOKÓJ GRABARZA TVP INFO
- PROGNOZA NA STRAJK

TYSOL.PL

eprasa.pl b71987bd04

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.

SALONIK ZIEMKIEWICZA

SOBOTA
16:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl b71987bd04

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Dokładnie w tym samym momencie, gdy premier Donald Tusk ogłosił rok 2026 „rokiem przyspieszenia", dostajemy porcję najnowszych danych, z których wynika, że z pracą w Polsce dawno nie było tak źle. W styczniu liczba bezrobotnych zaczęła się zbliżać do miliona (940 tysięcy, by być precyzyjnym). To o 170 tysięcy więcej niż było, gdy dwa lata temu z haczykiem ten sam Donald Tusk przejmował władzę w Polsce. Innymi słowy – odkąd do władzy w Polsce wrócili liberałowie, to liczba Polek i Polaków, którzy pracy nie mają, choć jej aktywnie szukają, zwiększyła się mniej więcej o tyle, ile osób mieszka w Olsztynie, Gliwicach albo Bielsku-Białej.

A to przecież wcale nie koniec złych wieści. W styczniu do urzędów zgłoszono 25 tysięcy ofert pracy lub aktywizacji zawodowej. To o 60 tysięcy mniej niż w styczniu ubiegłego roku. Rok do roku to spadek o jakieś 70 procent. Mało tego – w 2025 roku padł rekord pod względem liczby zwolnień grupowych. Było ich prawie 100 tysięcy – najwięcej od czasu kryzysu finansowego lat 2008–2009. A przecież dobrze wiemy, że w 2026 roku wcale nie będzie lepiej i że kolejne duże zakłady pracy szykują się do podobnych zwolnień. Jeszcze mało? No to może dodam, że tylko w styczniu zniknęło w polskiej gospodarce 10 tysięcy etatów. W latach 2015–2023 o tej porze roku przybywało ich zwykle między 40 a 160 tysięcy. Jedynym wyjątkiem był covidowy styczeń 2021 roku. Ale przecież teraz nie ma żadnej pandemii, mamy rzekomo ów „rok przyspieszenia".

Jednocześnie widać gołym okiem, że władza oraz jej medialno-komentatorska otulina w ogóle nie przyjmują tych faktów do wiadomości. Gdy już ktoś jakimś cudem skonfrontuje takiego Adama Szłapkę z tematem znikających miejsc pracy, to rzecznik rządu wygląda tak, jakby nagle ktoś w jego obecności rozpylił zapach zgniłego jaja. Krzywi się i wije, by powrócić z dyżurnym tłumaczeniem, że „bezrobocie należy w Polsce do najniższych w Europie". Już nie, Panie Ministrze, już nie. Patrzy Pan w lusterko wsteczne, a rzeczywistość się od Pana oddala. Albo – mówiąc bardziej precyzyjnie – to Pan oddala się od rzeczywistości.

Czekam tylko, aż dyżurni liberalni komentatorzy zaczną rzucać Tuskowi koło ratunkowe wraz z tłumaczeniem, że rosnące bezrobocie to efekt rozpasania socjalnego czasów PiS oraz szybkiego wzrostu płacy minimalnej. Faktycznie, w ich liberalnych podręcznikach stoi, że jak płaca minimalna idzie w górę, to w górę idzie także bezrobocie. Ale powiedzcie im wtedy, proszę, że to bzdura. Kompletna i fundamentalna. A na dowód przypomnijcie, że płaca minimalna w Polsce w latach 2015–2023 urosła o ponad 100 procent (z 1750 do 3600). Gdyby liberałowie mieli rację, to bezrobocie powinno iść w górę, prawda? Tymczasem ono... spadło. Z 10 procent w roku 2016 do 5 na koniec rządów Zjednoczonej Prawicy. I odwrotnie. Pod rządami uśmiechniętej koalicji Tuska wzrost płacy minimalnej w Polsce ostro wyhamował, a bezrobocie idzie stale w górę. No więc jak to jest, drodzy liberałowie, z tymi Waszymi ekonomicznymi podręcznikami? Może czytacie je do góry nogami?

Jeżeli to jest według Tuska „rok przyspieszenia" – to miej nas, Panie Boże, w swojej opiece przed tuskową „stagnacją" albo „spowolnieniem".

I w ogóle, przepraszam bardzo, ale jeżeli to jest według Tuska ów „rok przyspieszenia" – to miej nas, Panie Boże, w swojej opiece przed tuskową „stagnacją" albo „spowolnieniem".

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl b71987bd04

24.02.2026
WYDANIE Nr
8

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Rosnące bezrobocie w Polsce

6 Pierwszy milion trzeba zwolnić

10 Zwolnienia idą szeroko

14 Polityka bierności

18 Edukacją w bezrobocie. Rozmowa z dr. W. Jakubowskim

22 Podpięci pod awans

KRAJ

Polityczna egzekucja w białych rękawiczkach. Czy Donald Tusk wydał wyrok na Polskę 2050? 26

Czysta woda, pusta publika 30

Test ogniowy prezydenta 34

ZAGRANICA

Grawitacja i Trump 40

HISTORIA

„Chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich nie ma” 46

Lwowski Kürten 50

KULTURA

Nie można być dziaderskim. Rozmowa z J. i G. Benedekami 54

Pojedynek w sanatorium u Gorkiego. Recenzja filmu „Pojedynek” 58

Koty dachowce 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68

Prognoza na dziś: Możliwy strajk w IMGW 70

FELIETONY:

OKRASKA 13

GAC 25

PŁUŻAŃSKI 49

KRYSZTOPA 67

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 17

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 21

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 33

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 43

CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 62

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl b71987bd04

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ŻĄDAMY

- Zahamowania zwolnień grupowych
- Wsparcia branż kluczowych dla bezpieczeństwa energetycznego i przemysłowego Polski
- Kompleksowej reformy edukacji i nauki, wstrzymania chaotycznych zmian w oświacie
- Przywrócenia i przyspieszenia kluczowych inwestycji strategicznych: CPK, elektrownie atomowe, sieci naftowe i gazowe, port w Świnoujściu, żeglowność Odry
- Ochrony polskiego rolnictwa przed skutkami umowy UE - Mercosur i UE - Ukraina
- Zaprzestania wypowiadania układów zbiorowych pracy i wygaszania praw pracowniczych
- Rozsądnego gospodarowania zasobami naturalnymi, prowadzenia sprawdzonej gospodarki leśnej (bezpieczna dostępność terenów leśnych dla obywateli,zabezpieczenie dostaw dla branży drzewnej)
- Odrzucenia destrukcyjnej polityki klimatycznej (Zielony Ład, Fit For 55, ETS, ETS2)
- Odpowiedzialnej polityki dotyczącej służby zdrowia, z poszanowaniem praw pracowników oraz pacjentów
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Niezwłocznej i realnej waloryzacji płac w sektorze finansów publicznych
- Wstrzymania wdrażania prawa uderzającego w bezpieczeństwo ekonomiczne polskich pracowników i ich rodzin
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Zabezpieczenia interesów polskich firm i bezpieczeństwa państwa polskiego po wojnie na Ukrainie

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Pierwszy milion trzeba ZWOLNIĆ

– Mamy drugie najniższe bezrobocie w Europie i ten wzrost, ten odczyt na poziomie 0,1 – okej, być może zapowiada jakiś trend, ale tak naprawdę nie widzę tutaj żadnego poważnego powodu, aby się poziomem polskiego bezrobocia na tle innych gospodarek niepokoić – mówił w ubiegłym tygodniu premier Donald Tusk w siedzibie Giełdy Papierów Wartościowych. Premier faktycznie nie musi się niepokoić, ponieważ bezrobocie jest naturalnym elementem społecznego krajobrazu jego kolejnych rządów. Niestety pracownicy i studenci są **w mniej komfortowej sytuacji**.

Krzysztof Karnkowski

Okazją, przy której Donald Tusk wygłosił cytowane wcześniej słowa, było spotkanie zapowiadające „rok przyspieszenia", co ma być typowym dla Tuska elementem sprawnej, choć oderwanej od rzeczywistości propagandy, a dla obywateli brzmieć jak groźba. „Rok 2025 był rekordowy pod względem zwolnień grupowych. W sumie do urzędów pracy zgłoszono ich ponad 97,6 tys." – informowała pod koniec stycznia „Rzeczpospolita". Gazeta

eprasa.pl b71987bd04

podkreśla przy tym, że to najgorszy wynik od czasów ogólnoświatowego kryzysu z lat 2008–2009. Tym samym też więcej, niż choćby w czasie pandemii, gdy obawiano się fali zwolnień, do której jednak – częściowo kosztem zwiększenia inflacji – nie doszło. Hasła o „PiS-owskiej drożyźnie" lansowane przez propagandę PO przyjęły się dość dobrze w debacie publicznej, słabiej przebiła się świadomość, która była wobec niej alternatywna. Jeżeli uznać, że był to jeden z czynników, które wpłynęły na wynik wyborów w 2023 roku, to duże grupy pracowników ponoszą dziś koszty tamtej niewiedzy.

Nieodrobiona lekcja

A przecież tę akurat lekcję naprawdę powinniśmy sobie jako społeczeństwo przyswoić. Mieliśmy na to dobrych 35 lat.

Fot. Adobe Stock

Bezrobocie w Polsce pojawiło się wraz z końcem PRL i Leszkiem Balcerowiczem, ekonomicznym guru dzisiejszych rządzących. Co więcej, na jego skokowy wzrost na początku lat 90. duży wpływ miały, podobnie jak dzieje się to obecnie, rosnące ceny energii. Ceny te zostały wówczas uwolnione w ramach odchodzenia od centralnie planowej gospodarki, a równocześnie skończono z polityką subsydiowania tychże w przemyśle, co spotęgowało efekt podwyżek. To z kolei sprawiło, że działalność wielu firm stała się nieopłacalna, a ludzie zaczęli trafiać na bruk. Oficjalna propaganda opisywała te zjawiska jako koniec komunistycznej fikcji, a dla ludzi, którzy w następstwie tych zmian zostawali bez pracy, media nie miały zbyt wiele współczucia. Uderzało to zwłaszcza w rozmaitej twórczości kabaretowej, w tym telewizyjnej, gdzie bezrobotny przedstawiany był jako żerujący na państwowej pomocy patologiczny leń, cwaniak i niereformowalny wychowanek Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Tymczasem liczba bezrobotnych rosła niemal równie lawinowo, co balcerowiczowska inflacja. W styczniu 1990 roku bezrobocie wynosiło jeszcze tylko 0,3%, by pod koniec tego samego roku osiągnąć poziom 6,5%, a w grudniu 1993 – już 16,4%. Później obserwowaliśmy pewne wahania, z wyraźną poprawą w roku 1998 i gwałtownym pogorszeniem sytuacji na początku XXI wieku. Wówczas, podczas kadencji Leszka Millera, bezrobocie osiągało swoje absolutne rekordy, dochodząc do pułapu 20%. Sytuację uratowało otwarcie unijnego rynku pracy, a co za tym idzie – wypchnięcie poza Polskę potężnych grup potencjalnych bezrobotnych. W efekcie pod koniec 2008 roku bezrobocie spadło na od lat niewidziany poziom poniżej 10%, jednak już od początku kolejnego roku zaczęło ponownie rosnąć, by w 2013 osiągnąć ponad 14%. Potem doszło do niewielkiej poprawy, jednak znacząco sytuacja zmieniła się dopiero podczas rządów Prawa i Sprawiedliwości. W 2019 roku udało się nam zejść do 5%, a wynik ten polska gospodarka po zawirowaniach związanych z pandemią COVID-19 powtórzyła również cztery lata później. Dziś statystyki wciąż wyglądają nienajgorzej, jednak zbliżamy się już do 6%. Pracownicy, którzy odchodzą w ramach zwolnień grupowych, o których poniżej,

POLSKI TiKToK PEŁEN JEST OPOWIEŚCI O BEZOWOCNYM POSZUKIWANIU PRACY PRZEZ OSOBY PO STUDIACH.

eprasa.pl b71987bd04

na ogół znajdują jeszcze nowe zajęcie, jednak niepokojący trend można zauważyć wśród młodzieży. Polski TikTok pełen jest opowieści o bezowocnym poszukiwaniu pracy przez osoby po studiach, o rozsyłaniu bez odzewu setek CV, ignorowaniu lub wykorzystywaniu do wykonania prac bez gratyfikacji przez rekruterów, a nawet o przypadkach prób oszustw i wyłudzeń. We wrześniu zeszłego roku bez pracy pozostawać miało 13% osób poniżej 25. roku życia, co stawiało nas mniej więcej w połowie europejskiej stawki, ale z najwyższą tendencją wzrostową. W grudniu zeszłego roku w urzędach pracy zarejestrowanych było już ponad 217 tysięcy bezrobotnych poniżej 30. roku życia – o 16% więcej niż rok wcześniej. Ogółem zaś liczba bezrobotnych zbliża się już do miliona.

Hurtem na bruk

Liczba zwolnień grupowych złożonych w 2025 roku do urzędów pracy była trzykrotnie wyższa niż rok wcześniej. Bardzo duży udział w tej niechlubnej statystyce miała Poczta Polska prowadząca bezwzględną, wielokrotnie opisywaną na naszych łamach, politykę zwolnień. Jak jednak zauważa „Rzeczpospolita", i bez udziału tego wielkiego państwowego pracodawcy liczby są niepokojące – to wciąż prawie 50 tys. zwolnień. Od czasu zmiany rządu mieliśmy w Polsce liczne medialne przypadki likwidacji zakładów, m.in. walcowni „Andrzej" w Zawadzkiem, fabryk Toshiby w Gnieźnie i Henkela w Raciborzu, polskich zakładów tureckiego producenta AGD Beko czy oddziału Black Red White w Przeworsku. Pracowników zwalniały też wielkie sieci handlowe. Zwolnienia grupowe przeprowadziły między innymi PKP Cargo, PG „Silesia" i wiele firm z bardzo różnych sektorów, od komputerowego wraz z branżą gier, poprzez branże energochłonne, aż do usług kurierskich. Nowy rok zaczęliśmy informacją o zamiarze likwidacji jednej zmiany w tyskiej fabryce FCA Poland, co oznacza utratę pracy dla ok. 750 osób. Te cięcia to efekt kryzysu, który w Unii Europejskiej dotyka branży motoryzacyjnej. Unia w kolejnych strategiach i obostrzeniach próbuje zmniejszyć liczbę aut spalinowych, co przekłada się na spadek zainteresowania i problemy producentów. Zakład, produkujący takie auta jak Alfa Romeo Junior, Jeep Avenger i Fiat 600, jest jedną z ofiar tej polityki, przeciwko której zaczynają buntować się liderzy branży w wielu państwach UE. – Unia Europejska musi się obudzić, bo motoryzacja na naszym kontynencie umiera. I to w trybie bardzo, bardzo szybkim – mówił w rozmowie z Onetem jeden z pracowników. Firmy tymczasem planują przenoszenie produkcji poza Europę, pracownicy jednak raczej za swoimi pracodawcami nie wywędrują.

Nie tylko stare branże

Unijna polityka, wzrost kosztów energii powodowany w dużym stopniu czynnikami zależnymi od woli politycznej uderzają szczególnie w branże energochłonne. Na listach przedsiębiorstw, które zostały zlikwidowane lub zwalniały pracowników, widać więc mocną reprezentację firm związanych z hutnictwem, ciepłownictwem czy chemią. W pierwszej z tych branż, poza wspomnianą już walcownią w Zawadzkiem, na której opierało się właściwie całe życie i historia miejscowości, likwidacje dotknęły między innymi zakłady w Elblągu czy Częstochowie. Ale kryzys dotyczy nie tylko tradycyjnej produkcji. O Krakowie w ostatnich tygodniach głośno jest głównie z powodu inicjatywy referendalnej mającej doprowadzić do odwołania z urzędu prezydenta miasta Aleksandra Miszalskiego z Platformy Obywatelskiej. Jednak w prasie branżowej stolica Małopolski pojawia się coraz częściej w zupełnie innym kontekście – w Krakowie bardzo łatwo w ostatnich miesiącach stracić pracę. Być może i dlatego tak bulwersują mieszkańców informacje o zatrudnianiu w miejskich instytucjach działaczy KO, ich krewnych i znajomych. Krakowskie zwolnienia mają inną naturę od tych opisywanych wyżej, dotykają przede wszystkim nowoczesnych sektorów usług, branży IT, przetwarzania danych i usług internetowych. Przez pierwszych 11 miesięcy zwolnienia dotknęły tu prawie trzech tysięcy pracowników z kilkudziesięciu firm i zakładów. „Niepokojące są też dane Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Według szacunków resortu przytoczonych przez gazetaprawna.pl stopa bezrobocia rejestrowanego w grudniu 2025 roku wyniosła około 5,7 proc. To wzrost o 0,6 punktu procentowego w porównaniu z grudniem 2024 r. i oznacza ponad 880 tys. zarejestrowanych bezrobotnych w kraju. To oznacza, że liczba osób pozostających bez pracy w urzędach pracy wzrosła o ponad 100 tys. w ciągu roku" – donosi Forsal.pl. Słowa premiera, że nie ma się czym niepokoić, przypominają usypiające czujność deklaracje sprzed powodzi, która jesienią 2024 roku nawiedziła południowy zachód Polski. Wtedy też prognozy miały nie być alarmu-

LICZBA ZWOLNIEŃ GRUPOWYCH ZŁOŻONYCH W 2025 ROKU DO URZĘDÓW PRACY BYŁA TRZYKROTNIE WYŻSZA NIŻ ROK WCZEŚNIEJ.

eprasa.pl b71987bd04

jące. „To już tsunami zwolnień grupowych w Polsce. Firmy lawinowo tną etaty, w pośredniakach przybywa ludzi bez pracy. Czy nadciąga widmo bezrobocia?” – pyta w tytule przywołanego tekstu portalu Forsal.pl Jagienka Michalik.

W pętli ETS-ów

Jeśli nie dojdzie do zmian w planowanym systemie ETS2, cięcia, zwolnienia, likwidacje i bankructwa mogą rozlać się na kolejne branże. Media już kilka miesięcy temu zauważyły nadciągający problem i coraz częściej uderzają w alarmistyczne tony. Informacje skupiają się głównie na nieuchronnym skokowym wzroście kosztów życia dla Polaków, zwłaszcza mieszkających w starszych, tradycyjnie ogrzewanych budynkach i jeżdżących tradycyjnymi samochodami na benzynę i gaz. Jednak ten sam problem dotknie przecież każdej aktywności gospodarczej, zarówno wielkich zakładów, jak i jednoosobowych działalności w rodzaju usług, drobnego handlu czy rzemiosła. Branża transportowa bardzo mocno odczuje wzrost cen paliw (niemal dwukrotny w perspektywie kolejnych 25 lat), a wszyscy – wzrost kosztów ogrzewania. Tej zimy głośno stało się o pracownikach sieci sklepów Dino marznących z powodu niedogrzania jej placówek. Możemy spodziewać się, że podobnych informacji będzie więcej, biznes będzie szukał oszczędności na pracownikach, którzy stan ten zapewne odchorują. Równocześnie za ten wzrost kosztów zapłacą konsumenci. Wreszcie sami przedsiębiorcy mogą pewnego dnia zorientować się, że już nie stać ich na prowadzenie działalności, gdyż opłaty wciąż rosną, a oszczędzać nie ma już na kim i na czym. Dodajmy, że coraz częściej słyszymy, że w ramach zmian wywoływanych przez ocieplenie klimatu akurat w naszym regionie będzie... zimniej. A przecież już dziś z racji poziomu karbonizacji naszej gospodarki połączonej z położeniem geograficznym, czyniących Polskę jednym z zimniejszych krajów Unii, ponosimy największe koszty polityki klimatycznej UE. W ostatnich dniach pojawiły się co prawda sygnały, że w ETS2 szykowane są zmiany dotyczące liczby przyznawanych uprawnień do emisji w niektórych sektorach, jednak mają one kosmetyczny charakter i w żaden sposób nie uchronią nas przed nadciągającym kataklizmem.

Nadzieja?

Równocześnie jednak – i tu pojawia się pewna nadzieja – politycy z państw członkowskich pod wpływem własnego lobby przemysłowego zaczynają dostrzegać problemy, które stwarza obecnie funkcjonujący ETS. O jego zniesieniu lub ograniczeniu mówili w ostatnich dniach zarówno kanclerz Niemiec, jak i prezydent Francji, a coraz mocniejszy sprzeciw zgłaszają Czesi i Słowacy. Oczywisty fakt, że to ceny energii duszą dziś europejski przemysł, dociera do tych przedstawicieli władz państw członkowskich, którzy podlegają jeszcze demokratycznemu osądowi wyborców. Elity, które mniej muszą obawiać się gniewu i frustracji obywateli, wciąż próbują ciągnąć kontynent w swoją stronę. Pozostają pytania, która opcja zwycięży i czy deklaracje Friedricha Merza i Emmanuela Macrona przełożą się na realne działania, czy mają jedynie mydlić oczy Niemcom i Francuzom? Co jednak interesujące, po wypowiedzi kanclerza Niemiec ceny w handlu emisjami spadły – na tym przykładzie możemy obserwować, jak działa „niewidzialna ręka rynku” w Unii Europejskiej.

Za oficjalnym optymizmem kryje się całkowita obojętność władzy, która od obywateli oczekuje, że będą wypełniać wszystkie zobowiązania wobec państwa, radząc sobie jednak samemu. Być może dalsze pogorszenie się sytuacji wywoła reakcję społeczną, która wymusi na władzy działanie. Obyśmy po drodze ze snu o polskim sukcesie nie obudzili się, gdy powrócą statystyki z 2003 roku.

FIRMY PLANUJĄ PRZENOSZENIE PRODUKCJI POZA EUROPĘ, PRACOWNICY JEDNAK RACZEJ ZA SWOIMI PRACODAWCAMI NIE WYWĘDRUJĄ.

JEŚLI NIE DOJDZIE DO ZMIAN W PLANOWANYM SYSTEMIE ETS2, CIĘCIA, ZWOLNIENIA, LIKWIDACJE I BANKRUCTWA MOGĄ ROZLAĆ SIĘ NA KOLEJNE BRANŻE.

eprasa.pl b71987bd04

Zwolnienia idą szeroko

Zwolnienia grupowe przetaczają się przez **wszystkie branże**, łącznie z sektorem IT. Najbardziej gorzkie są jednak zwolnienia w przemyśle, o które Solidarność oskarża unijną politykę klimatyczną. Dla związkowców cięcia pracownicze to ostateczność, a nie najlepszy sposób na ratunek dla firmy.

Marcin Krzeszowiec

Najgłośniejszy przypadek to narodowy operator kolejowych przewozów towarowych, którym jest PKP Cargo. W ciągu zaledwie dwóch lat firma zredukowała zatrudnienie o 5 tysięcy pracowników, a jej stan osobowy zmniejszył się z 13 376 do 8415 osób pod koniec 2025 roku.

W międzyczasie uszczuplono też spółkę córkę – PKP CargoTabor, gdzie zamknięto regionalne sekcje w Olsztynie, Gdyni, Szczecinie oraz Jaworzynie Śląskiej.

Nie sposób nie wspomnieć, że sam fotel prezesa PKP Cargo stał się mocno „obrotowy". Po odwołaniu Macieja Jankiewicza zasiadł na nim Marcin Wojewódka, potem stery przejęła Agnieszka Wasilewska-Semail, a w lutym tego roku Zbigniew Prus.

Biorąc pod uwagę, że kolejne przetasowanie polityczne nastąpi dopiero za półtora roku, funkcję prezesa PKP Cargo może pełnić jeszcze niejeden „uzdrowiciel".

Tak duża rotacja bardzo dobitnie świadczy o tym, że w kolejowej spółce nadal nie dzieje się najlepiej.

– Stanowisko Solidarności jest w tej sprawie od dawna stałe. Ono się nie zmienia. Jesteśmy i byliśmy przeciwko zwolnieniom grupowym, natomiast obecny i poprzedni zarząd spółki nie podejmują działań naprawczych wobec PKP Cargo, a ich jedynym pomysłem na „restrukturyzację" są właśnie zwolnienia pracowników – mówił nam w połowie zeszłego roku Jan Majder, przewodniczący Solidarności w PKP Cargo.

Kurierzy na B2B

Kilka tysięcy osób musiało rozstać się również z inną państwową firmą. Z Poczty Polskiej odeszło ponad 6 tysięcy pracowników i to tylko w okresie od listopada 2024 roku do marca 2025 roku. Dziś pracuje tam przeszło 51 tysięcy osób, a prezes Sebastian Mikosz zapowiedział, że w najbliższym czasie nie planuje tego zmieniać. Zmianie ulegnie natomiast sposób zatrudnienia kurierów, którzy z umów o pracę mają przejść na B2B.

Zdaniem Solidarności jest to kolejny przykład tego, że dla Zarządu Poczty „dialog i pracownik nic nie znaczą".

– Pracodawca od dwóch lat zmniejsza zatrudnienie, zmniejsza etaty. Zmniejszona jest także liczba osób obsługujących placówki pocztowe, jest mniej listonoszy... Oni sami mają coraz większe rejony i coraz dłużej chodzą po nich, żeby je obsłużyć i dostarczyć korespondencję, a widzimy, że nie dają rady. To nie jest wina kolegów i koleżanek, którzy doręczają pocztę, to jest po prostu wina Zarządu, który tak tą firmą kieruje – mówił na antenie Radia Poznań wiceprzewodniczący „S" w Poczcie Polskiej Marcin Gallo.

– Co gorsza, Zarząd planuje kolejne ruchy związane z listonoszami. Chce ich „zabrać" z urzędu pocztowego i przekazać pod logistykę. Nasze pytanie jako Solidarności jest

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl b71987bd04

takie: Czy to nie jest pierwszy krok, aby listonoszy w perspektywie czasu również zatrudniać na umowach B2B i pozbawić ich umów o pracę, czyli bezpieczeństwa, które daje ta forma zatrudnienia? – pytał związkowiec.

W ostatnim czasie głośno było również o górnikach z PG „Silesia", którzy przez osiem dni protestowali pod ziemią, gdy dowiedzieli się, że 754 pracowników, czyli cała załoga, ma być objętych zwolnieniami grupowymi. Z jednej strony walczyli o swoje miejsca pracy, a z drugiej – domagali się od rządu osłon socjalnych na wypadek zwolnień.

> ***Obecny i poprzedni zarząd spółki nie podejmują działań naprawczych wobec PKP Cargo, a ich jedynym pomysłem na „restrukturyzację" są właśnie zwolnienia pracowników.***
>
> **JAN MAJDER, szef „S" w PKP Cargo, czerwiec 2025 r.**

Świadczenia osłonowe przysługują jednak tylko tym górnikom, których zakłady pracy są wpisane do ustawy górniczej. PG „Silesia" jako prywatna kopalnia nie znajdowała się na tej liście.

Ten stan rzeczy ma zmienić porozumienie, które związkowcy zawarli z właścicielem kopalni, zarządcą sądowym oraz Ministerstwem Energii w grudniu 2025 roku. Rząd zobowiązał się w nim, że do końca lutego przygotuje rozwiązania legislacyjne, które umożliwią objęcie alokacją i świadczeniami osłonowymi górników oraz pracowników przeróbki, jeśli dojdzie do upadłości PG „Silesia".

Właściciel kopalni ponowił chęć dzierżawy kopalni i przejęcia wszystkich pracowników, a Zarządca zadeklarował, że nie będzie wręczał wypowiedzeń – z wyjątkiem sytuacji, gdy dzierżawa nie dojdzie do skutku.

Gdy zdawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, po nowym roku pracownicy „Silesii" zaczęli być zwalniani z pracy.

– Niestety przyszedł frontalny atak na Solidarność, atak na tych bohaterów, którzy spędzili osiem dni pod ziemią. Pomimo zapisów w tym porozumieniu, że nie będą wyciągane wobec nich żadne dyscyplinarne konsekwencje – dzisiaj część tych chłopaków jest na wypowiedzeniach i ma poblokowane wejścia na teren zakładu – podkreślał na ostatniej pikiecie Grzegorz Babij, szef „S" w PG „Silesia".

Szukanie oszczędności

Jeśli ktokolwiek czuje już przesyt doniesieniami o trudnej sytuacji w tych zakładach, to może zainteresują go najświeższe informacje płynące z Jastrzębskiej Spółki Węglowej?

Ten czołowy producent węgla koksowego – surowca niezbędnego do wytopu stali i uznanego przez Unię Europejską za krytyczny ›

eprasa.pl b71987bd04

– po trzech kwartałach 2025 roku odnotował narastającą stratę netto w wysokości 2,9 mld zł.

Firma zaczęła więc szukać oszczędności i znalazła je po stronie załogi. W lutym pracownicy JSW zgodzili się w referendum na zawieszenie części świadczeń, aby ratować spółkę. Ponad 97 procent z 16 tysięcy głosujących przystało na porozumienie, które organizacje związkowe ustaliły wcześniej z Zarządem. Co z niego wynika?

Otóż w 2026 roku górnicy będą mieli zawieszoną 14. pensję, a ubiegłoroczną – firma wypłaci im do końca 2027 roku. Od lutego 2026 roku do końca przyszłego roku zawieszona zostanie wypłata deputatu węglowego oraz biletów z Karty Górnika. Ponadto rozłożono na raty i przesunięto w czasie wypłatę nagród i ekwiwalentów barbórkowych w latach 2025–2028.

Zaciskanie pasa ma objąć także „górę" Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Wiceminister aktywów państwowych Grzegorz Wrona przekazał, że członkowie Zarządu będą wnioskować o obniżenie swoich wynagrodzeń „do aktualnych realiów finansowych spółki".

– Działanie to stanowi wyraz odpowiedzialności i solidarności kierownictwa Spółki z pracownikami oraz jest elementem szerszych działań zmierzających do stabilizacji sytuacji finansowej JSW. Ponadto Ministerstwo Aktywów Państwowych jako większościowy akcjonariusz zawnioskuje o zwołanie walnego zgromadzenia w celu podjęcia uchwały o obniżeniu wynagrodzenia członków rady nadzorczej – zapewnił minister Wrona.

W takiej sytuacji można uszczypliwie zapytać: Dlaczego kierownictwo JSW nie dało przykładu i nie obniżyło swoich pensji wcześniej, tylko czekało na decyzję pracowników...?

Co dzieje się w przemyśle?

Zwolnienia przetaczają się również przez inne branże. Niedawno polski producent mebli z Jeleniej Góry – Zorka – postanowił, że do końca czerwca rozstanie się z 233 pracownikami. Wcześniej, bo w listopadzie 2025 roku, media obiegła informacja, że Black Red White planuje zwolnienia grupowe około 800 pracowników.

Szczególnie ciężka sytuacja panuje w hutnictwie. W grudniu ubiegłego roku po 223 latach zlikwidowano Hutę Królewską w Chorzowie, a jesienią 2024 roku padła Walcownia Rur „Andrzej" w Zawadzkiem, co oznaczało zwolnienia ponad 400 pracowników. Na sprzedaż wystawiono także częstochowski Rurexpol.

Od zamknięcia na cztery spusty uratowano natomiast Hutę Częstochowa, o co walczyła Solidarność, organizując między innymi manifestację w stolicy. Zakład najpierw wstrzymał produkcję, potem ogłosił upadłość i ostatecznie w listopadzie 2024 roku trafił pod skrzydła Węglokoksu.

W związku z odchodzeniem od węgla wygaszane są również bloki węglowe. W sierpniu tego roku swoją pracę zakończą ostatnie dwa bloki Elektrowni Dolna Odra, a w następnym roku z mapy zniknie zasilana węglem Elektrownia Rybnik.

Kolejny sektor to motoryzacja. W połowie 2024 roku dobiegła końca likwidacja – zapoczątkowana jeszcze w poprzednim roku – fabryki silników FCA Powertrain w Bielsku-Białej. Majątek fabryki upłynniono, a część maszyn trafiło do zakładu w Brazylii.

Od marca 2026 roku Stellantis zrezygnuje zaś z trzeciej zmiany w zakładzie w Tychach, gdzie Solidarność ustaliła już z kierownictwem warunki Programu Dobrowolnych Odejść. Zostanie nim objętych 320 pracowników, ale jak informowali wcześniej związkowcy – łącznie pracę może stracić nawet 740 osób, wliczając w to pracowników agencyjnych.

Przyczyny tych zwolnień Solidarność upatruje w unijnej polityce klimatycznej, o czym mówił niedawno szef podbeskidzkiej Solidarności Marek Bogusz. – My na tym terenie mamy bardzo dużo motoryzacji. Spadki produkcyjne są ogromne. Fiata już w Bielsku nie ma, w Tychach już słyszycie, że jedna zmiana jest likwidowana, a w 2028 roku nie będzie Fiata w ogóle, nie będzie Stellantisu. Tak działa Zielony Ład – ocenił.

Zwolnienia w przemyśle są wyjątkowo bolesne, bo często dotyczą osób najuboższych, ludzi z kilkudziesięcioletnim stażem, niejednokrotnie związanych z firmą od czasu ukończenia szkoły. Takie duże przedsiębiorstwa są zazwyczaj największymi pracodawcami w regionie i największymi płatnikami podatków dla gminy. Ich upadek to prawdziwy horror dla lokalnej społeczności – zwłaszcza w obliczu braku alternatywy.

PRACOWNICY JSW ZGODZILI SIĘ W LUTOWYM REFERENDUM NA ZAWIESZENIE CZĘŚCI ŚWIADCZEŃ, ABY RATOWAĆ SPÓŁKĘ.

eprasa.pl b71987bd04

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

„Za wysokie progi” i pochód liberalnego klasizmu

O wypowiedziach deprecjonujących rodzinę prezydencką ze względu na rzekomo „nie takie” pochodzenie klasowe czy „niejasne” powiązania pisałam już chwilę po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego. Temat jednak nie przycichł, a wręcz przeciwnie – powraca.

Ostatnio nowych rumieńców nadała mu publicystka „Wysokich Obcasów” Natalia Waloch, która uznała za stosowne poświęcić postaci Marty Nawrockiej nieprzyjemny w tonie i wydźwięku felieton. Omawia w nim wywiad udzielony przez pierwszą damę telewizji TVN24. Waloch „jedzie” po stylu wypowiedzi, poglądach, wykształceniu żony prezydenta, twierdzi, że Pałac Prezydencki to dla państwa Nawrockich „za wysokie progi”, że Marta Nawrocka nie dorosła do swojej roli, bo… pochodzi z blokowiska. Oczywiście według publicystki pierwsza dama ma także mnóstwo innych wad – zapewne największą z nich jest poślubienie tego, kogo poślubiła – zatem nasza feministka doradza jej… milczenie.

Też jestem feministką i o ile dystansuję się od feminizmu liberalnego à la Magdalena Środa, o tyle wydawało mi się, że z feministkami (deklaratywnie) socjalnymi mojego pokolenia mam jednak sporo punktów stycznych. Natalia Waloch podąża jednak, jak widać, drogą Magdaleny Środy i Agnieszki Graff oraz Marty Lempart – „feministek”, dla których prawa innych kobiet zależą od tego, jaka kobieta się o nie „ubiega”. Wpisują się tym samym i w porządek liberalny oraz wolnorynkowy (kobieta znaczy coś tylko, gdy ma wykształcenie, pozycję, pieniądze), i uzależniają jakiekolwiek poparcie innej osoby płci żeńskiej od światopoglądu (tak brutalne analizy nie powstałyby po tej stronie nigdy, gdyby w Pałacu Prezydenckim mieszkała uwielbiana przez liberałów „Gosia, Gosia!”). Wszystkie inne deklaracje to tylko pustosłowie, przy czym, jak widać, i na nie zabrakło już miejsca. W Martę Nawrocką, kobietę wykształconą, można mierzyć i uderzać właściwie na oślep. Można analizować jej wybory życiowe, estetyczne. Można zamykać jej usta, choć poprzednią prezydentową Agatę Dudę oskarżało się o nadmierne wykorzystywanie prawa do milczenia.

Owszem, wyśmiewano w przeszłości także Annę Komorowską, głównie za wygląd, choć była już w momencie pełnienia urzędu przez swojego męża po prostu niemłodą kobietą, której ciało urodziło piątkę dzieci. Nie analizowano jednak w tekstach prasowych jej wypowiedzi, stylu, sposobu spędzania czasu – a już na cześć Jolanty Kwaśniewskiej piano jedynie peany. Był czas, gdy żona „Olka” nie schodziła z okładek kolorowych czasopism dla kobiet. Ogromną – w pozytywnym znaczeniu – karierę medialną zrobiła także córka pary Aleksandra Kwaśniewska, która w życiu nie dokonała niczego wielkiego poza byciem potomkinią pewnych osób. Złego słowa o niej nie słyszałam po dziś dzień.

Tak, „klasizm” to termin z repertuaru klasy średniej. Uderzają nim w siebie nawzajem ludzie, którzy chcą pokazać, że ten drugi nie był wystarczająco wyrozumiały dla „maluczkich”. Ofiary klasizmu czują jedynie płynącą z góry pogardę.

eprasa.pl b71987bd04

Polityka bierności

Rosnące od miesięcy w **niepokojącym** tempie bezrobocie nie jest z pewnością dobrą wiadomością. Jednak kompletna bierność rządzących udających, że nie ma problemu, jest jeszcze gorsza.

Marek Nowak

Czym by tu przykryć? Zróbmy coś... Musimy mieć jakieś czołówki, bo jak nie będziemy mieć własnych czołówek, to będziemy czytać i oglądać cudze. I ludzie będą czytać cudze czołówki. Będą czytać, że szpitale zamknięte, a kobiety mają rodzić od 8 do 18 na SOR-ach. Chcemy, by o tym czytali? To coś zróbmy! Co? Zespół ds. Epsteina? Żeby to z Rosją jeszcze połączyć? To jest coś, to mi się podoba – w tak prześmiewczy sposób dziennikarz Krzysztof Stanow-

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl b71987bd04

ski parodiował potencjalną naradę, w wyniku której rządzący zdecydowali się na powołanie zespołu do zbadania potencjalnych polskich wątków w aferze Epsteina. Pomysł, by sam premier z wielką pompą, w świetle medialnych reflektorów ogłaszał powstanie takiego zespołu, faktycznie przypomina to, co jeszcze w czasach pierwszego rządu Donalda Tuska nazywano „przemysłem przykrywkowym". To określenie, którego autorem jest publicysta Łukasz Warzecha, oznaczało podejmowanie przez rząd działań o charakterze PR-owym, których zadaniem było szybkie zajmowanie publicznej uwagi sprawami budzącymi emocje, aby przykryć to, co mogłoby być niewygodne dla ówczesnej władzy. Specjalistą w kreowaniu kolejnych tematów zastępczych miał być doradca premiera Igor Ostachowicz. W obecnych działaniach rządu, jego modelu komunikacji czy też ogólnej skłonności do uprawiania polityki prymatu pustego PR-u nad realnym rządzeniem wyraźnie widać ducha tamtych czasów. Jednak nie jesteśmy już tym samym społeczeństwem, co w latach 2007–2015, i tak jak nie udało się rządzącym w pełni przykryć tematu zamykanych szpitali i likwidowanych porodówek, tak mało prawdopodobne, by ta sztuka udała się z innym niewygodnym dla władzy tematem – z rosnącym bezrobociem.

Cięcia zamiast polityki społecznej

Najnowsze dane dotyczące stopy bezrobocia ogłoszone przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej są więcej niż niepokojące. W lutym 2026 roku stopa bezrobocia rejestrowanego w Polsce osiągnęła 6,0%, co oznacza wzrost o 0,3 pkt proc. w stosunku do grudnia 2025 i o 0,6 pkt proc. rok do roku. To najwyższy wskaźnik od czasów apogeum pandemii. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych przekroczyła już 934 tys. osób – to o blisko 47 tys. więcej niż miesiąc wcześniej i o ponad 100 tys. więcej niż na początku rządów obecnej koalicji. To, że liczba bezrobotnych zbliża się powoli do miliona, a największe krajowe media nie biją na alarm, mówi dużo o medialnej osłonie, na którą może liczyć obecny rząd. Złośliwi komentatorzy mogliby zażartować, że Donald Tusk w czasach opozycji wzywał swoich zwolenników na tzw. Marsz Miliona Serc, a po dwóch latach jego rządów to mógłby już być Marsz Miliona Bezrobotnych, jednak każdy śmiech w tym wypadku byłby jedynie śmiechem przez łzy. Między bajki należy włożyć wszelkie opowieści o „typowo sezonowym" wzroście bezrobocia – trend wzrostowy trwa nieprzerwanie od lata 2025 roku. Od maja 2025 do stycznia 2026 roku bezrobocie rejestrowane wzrosło o pełny punkt procentowy. Jednocześnie w 2025 roku zgłoszono rekordową liczbę zwolnień grupowych – 97,6 tys. etatów. To najwięcej od 18 lat. Rządzący nie tylko udają, że nie widzą problemu, ale też swoimi działaniami zdają się dążyć do pogłębienia aktualnego kryzysu. W końcu jak inaczej nazwać cięcia środków na aktywizację bezrobotnych? Budżet Funduszu Pracy na programy promocji zatrudnienia i szkolenia w 2026 roku został zredukowany o około 40% w porównaniu z 2025 rokiem – mimo rekordowo wysokich wpływów do funduszu. Pytanie o cel takiej polityki nasuwa się samo.

Czemu nie reagują?

W przypadku liberalnej PO odpowiedź wydaje się najbardziej oczywista. Dla przedstawicieli tego środowiska politycznego rosnące bezrobocie nigdy nie było realnym problemem społecznym, a dla jego zaplecza biznesowego często bywało bardzo poręcznym narzędziem dyscyplinującym „roszczeniowych pracowników" czy też „roszczeniowe związki zawodowe". Można więc stwierdzić, że jakkolwiek ponuro to zabrzmi, to brak zainteresowania tym tematem ze strony KO nie powinien nikogo przesadnie dziwić. Współtworząca rządzącą koalicję Polska 2050 wraz z jej nową przewodniczącą Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz jest co prawda w silnym konflikcie, po części politycznym, choć przede wszystkim personalnym, z większym koalicjantem, lecz akurat w kwestiach gospodarczych i społecznych trudno znaleźć jakąkolwiek istotną różnicę w politycznej optyce obu formacji. PSL pod kierownictwem Władysława Kosiniaka-Kamysza przeszło długą polityczną i ideową drogę. Od formacji stabilizującej instytucje bez podbijania stawek, wiedzącej zawsze, czyich i jakich interesów chce bronić, po zanikające ugrupowanie niestabilizujące już instytucji, niewiedzące samo,

TO, ŻE LICZBA BEZROBOTNYCH ZBLIŻA SIĘ POWOLI DO MILIONA, A NAJWIĘKSZE KRAJOWE MEDIA NIE BIJĄ NA ALARM, MÓWI DUŻO O MEDIALNEJ OSŁONIE, NA KTÓRĄ MOŻE LICZYĆ OBECNY RZĄD.

eprasa.pl b71987bd04

co chce reprezentować. Naprawdę nie potrafię znaleźć jednej rzeczy, którą PSL osiągnęło lub chce osiągnąć dla swoich wyborców – co im tak naprawdę chce dać. Jedyne, co bardzo dokładnie widać, to komu i co chce zabrać. Tu również odpowiedź na pytanie o brak reakcji na rosnące bezrobocie wydaje się, niestety, dość oczywista. Z całej rządzącej koalicji najbardziej skomplikowana, przynajmniej pozornie, wydaje się sytuacja Nowej Lewicy.

Partia Silnych Razem zamiast lewicy

Politycy Nowej Lewicy, gdy byli jeszcze w opozycji, krytykowali często rządzącą prawicę, także z pozycji prospołecznych i solidarystycznych. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk mówiła o „fałszywej opiekuńczej twarzy PiS-u" i podważała wiarygodność Prawa i Sprawiedliwości w kwestiach społecznych. Pytanie, czy w związku z bardzo licznymi ustępstwami programowymi i ideowymi, na które poszła, firmując obecny rząd, dziś uważa samą siebie za wiarygodną w tych kwestiach? Choć i tak trzeba przyznać, że na tle reszty ministrów reprezentujących Nową Lewicę w rządzie Dziemianowicz-Bąk zdaje się być osobą najbardziej zaangażowaną w pracę swojego resortu. Nie jest to bynajmniej wielka pochwała dla jej pracy (jej efekty oceniam na gorzej niż przeciętne), lecz raczej smutny obraz obecnej kondycji tego ugrupowania. Wielu starszych działaczy lewicy o postkomunistycznym rodowodzie od dawna traktowało lewicowy społecznie charakter swojej partii jako sztafaż, zło konieczne, pewną pozę, którą bardzo niechętnie trzeba czasem przyjąć. Czuło się natomiast zarówno na poziomie politycznym, jak i psychologicznym częścią liberalnej elity. To z pewnością jest przypadek lidera Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego. Co warto przypomnieć, polityk ten, gdy objął funkcję marszałka Sejmu, nie zapowiedział żadnej lewicowej rewolucji programowej czy nawet konkretnych, pojedynczych projektów legislacyjnych ważnych dla lewicowego elektoratu. Całą treść swojego politycznego przesłania zredukował do wysłania wiernopoddańczego adresu w kierunku KO i jej lidera oraz mało wyszukanego ataku na prezydenta Karola Nawrockiego. Dużo bardziej od funkcji lidera lewicy Czarzastego interesuje funkcja „vice Tuska" w antypisowskim obozie. Internetowa sekta polityczna skupiająca najbardziej radykalnych zwolenników obecnej ekipy, Silni Razem, od kilku miesięcy głosi potrzebę powołania nowej partii, której głównym, a może nawet jedynym, zadaniem byłoby pilnowanie, by głównym czynnikiem kreującym politykę obozu liberalnego pozostał twardy antypisizm. Włodzimierz Czarzasty zdaje się jasno komunikować, że jest to rola, którą on bardzo chętnie wziąłby na siebie. Związana ze środowiskiem Silnych Razem dziennikarka Eliza Michalik powiedziała niedawno na swoim kanale na YouTubie: „Jak już Sąd Najwyższy każe ponownie przeliczyć głosy i się okaże, że Nawrocki nie jest prezydentem, to Włodzimierz Czarzasty zostanie prezydentem, czego mu bardzo życzę". Można więc odnotować, że polityczne zaloty marszałka Czarzastego zostały dostrzeżone.

Kto zapłaci największą cenę?

Brak reakcji ze strony rządzących na rosnące bezrobocie, podobnie jak kwestia zamykanych szpitali czy likwidowanych porodówek (w dobie kryzysu demograficznego!) wyraźnie pokazują, że dla obecnej ekipy kwestie społeczne są kompletnie nieistotne. To, że taką politykę firmują dziś odwołujący się w swoich dokumentach programowych do chadeckiej koncepcji spójności społecznej PSL czy też deklaratywnie wrażliwa społecznie Nowa Lewica, pokazuje wyraźnie, w jak fatalnym miejscu znajdują się dziś obie te formacje. Dla liberalnego mainstreamu niezwracanie uwagi nie piętrzące się problemy społeczne to, niestety, nic nowego. Jednak ignorowanie wyraźnie niepokojących wskaźników, cięcia realnych narzędzi aktywizacji i generowanie kolejnych PR-owych „przykrywek" zamiast realnych działań, to polityka, która za kilka kwartałów może przynieść bardzo poważnie konsekwencje społeczne i polityczne. Niestety, zanim do rządzących przyjdzie polityczny rachunek za bezczynność, jej społeczną cenę będzie musiała płacić coraz większa część społeczeństwa. Jednak jej losem zdają się kompletnie nie przejmować ani prezentująca duże samozadowolenie władza, ani zapatrzone w nią media.

BUDŻET FUNDUSZU PRACY NA PROGRAMY PROMOCJI ZATRUDNIENIA I SZKOLENIA W 2026 ROKU ZOSTAŁ ZREDUKOWANY O OKOŁO 40% W PORÓWNANIU Z ROKIEM 2025.

eprasa.pl b71987bd04

KARUZELA Z BLOGERAMI

FERDYNAND FODDER

TOTALITARYZM.EU

Szok, niedowierzanie, tysiące interpelacji bez odpowiedzi. Politycy sceptyczni wobec centralizacji Unii Europejskiej trwają w stanie permanentnego osłupienia na kolejne ogłoszenia Brukseli coraz bezczelniej uderzające nie tylko w kompetencje państw członkowskich, ale i swobody ich obywateli. Nie mamy tu jednak do czynienia z eurokratycznym szaleństwem, wręcz przeciwnie. Eurokraci realizują po prostu nową doktrynę: adaptację chińskich metod zarządzania społeczeństwem.

Przez dekady elity zachodnie żyły w błogim przekonaniu, że atrakcyjność liberalnej demokracji zapewni jej nieuchronne zwycięstwo. Hipoteza „zarażania wolnością" zakładała, że wpuszczenie autorytarnych partnerów do światowej gospodarki sprawi, iż ulegną oni zjawisku konwergencji – upodobnią się do nas. Rzeczywistość okazała się jednak wyjątkowo przewrotna. Efekt konwergencji zadziałał, owszem, ale w drugą stronę. To my zaczęliśmy upodabniać się do nich.

Zjawisko to precyzyjnie zdiagnozował w 2023 roku konserwatywny analityk i eseista N.S. Lyons (w rzeczywistości Nathan Levine, który rok temu dołączył do amerykańskiego Departamentu Stanu). Jak pisał: „zarówno Chiny, jak i Zachód – każde na swój sposób i we własnym tempie, lecz z tych samych przyczyn – zmierzają z różnych kierunków do tego samego punktu. Jest nim ten sam, jeszcze nie w pełni zrealizowany, system totalnego zarządzania technokratyczno-administracyjnego".

Dla Lyonsa przyczyną takiego stanu rzeczy było symultaniczne pojawienie się dwóch zjawisk: dziedziny inżynierii społecznej i klasy menedżerskiej, która od momentu swych narodzin preferowała systemy, w których władza oddawana była w ręce „ekspertów". Dla innych myślicieli zajmujących się tematem kluczowa jest rola samych Chin inwestujących potężne środki w rozprzestrzenianie i promocję techno-totalitaryzmu jako alternatywy dla systemów cywilizacji zachodniej.

Chińscy leniniści, po doświadczeniach chaosu czasów Mao i rozpadzie ZSRR, sięgnęli po zachodnie teorie cybernetyki, doskonaląc je pod każdym względem. Odkryli, że pełna kontrola nad informacją i przewidywanie zachowań ludzi za pomocą algorytmów to sposób na utrzymanie stabilności państwa – nawet wbrew woli społeczeństwa. Po domknięciu systemu w kraju Komunistyczna Partia Chin zwróciła się więc na zewnątrz. Jak podkreślają badacze chińskiego reżimu, Clive Hamilton i Mareike Ohlberg, jego ambicją było zawsze przekształcenie całego porządku światowego. Dopóty, dopóki gdzieś tam tliła się jeszcze zachodnia koncepcja wolności, system marksizmu-leninizmu znajdował się w niebezpieczeństwie.

Chińskie rozwiązania natrafiły na Zachodzie na wyjątkowo podatny grunt przygotowany przez dekady niekontrolowanej globalizacji. Proces ten doprowadził do fundamentalnego pęknięcia: interesy elit i zwykłych obywateli całkowicie się rozjechały. Podczas gdy establishment bogacił się na otwartych rynkach i przenoszeniu produkcji, lokalne społeczności traciły stabilność i poczucie bezpieczeństwa. W tej sytuacji chiński model zarządzania – oferujący odporność bez konieczności słuchania głosu niezadowolonych mas – okazał się dla zachodnich decydentów rozwiązaniem wyjątkowo atrakcyjnym. Chiński system kredytu społecznego, inwigilacja biometryczna i cenzura internetu stały się obiektem westchnień technokratów. Szybko przetłumaczono je więc na „nasze", dopasowując do zachodnich realiów.

Wdrażanie tych systemów napotkało zróżnicowany opór po obu stronach oceanu atlantyckiego. O ile w Stanach Zjednoczonych wywołało to gwałtowną odpowiedź, przechylając ostatecznie szalę zwycięstwa na korzyść populistów – o tyle w Unii Europejskiej przebiega zaskakująco gładko. Różnicę tłumaczyć można tym, że dla amerykańskiego społeczeństwa idee wolnościowe stanowią od zawsze podstawę kontraktu społecznego, podczas gdy w Europie postrzegane były często w kategoriach powojennego importu narzuconego w realiach zimnej wojny.

Bruksela prędko odnalazła się w poetyce post-liberalnej: progresywnej, lecz już nie wolnościowej. Amerykańscy progresywiści łypią z zazdrością, ogłaszając, że w obliczu „faszystowskiej reakcji" centrum „wolnego świata" (musicie im wybaczyć, terminy aktualizują się powoli) przeniosło się na drugi brzeg Atlantyku. Różnice kulturowe między elitami Nowego a Starego Świata mają znaczenie tylko tam, gdzie nie wygładza ich wspólna, globalistyczna dywidenda.

Przyjmując stanowisko w nowej administracji USA, wspomniany N.S. Lyons zostawił na swoim blogu pożegnalny wpis. Stwierdził w nim, że nadchodzące lata „są ostatnią pozostałą szansą na uratowanie narodu amerykańskiego i świata zachodniego przed nadciągającą katastrofą i totalitarną przyszłością".

eprasa.pl b71987bd04

Edukacją w bezrobocie

– Na problem bezrobocia można patrzeć z różnych stron. Z jednej – to gaszenie pożarów, walka o istniejące miejsca pracy i to rola związków zawodowych. Z drugiej – trzeba myśleć, jak zapobiegać bezrobociu w niedalekiej przyszłości i projektować szkolnictwo pod rynek już na poziomie powiatu – mówi dr **Waldemar Jakubowski**, przewodniczący Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność", w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. M. Żegliński

– Wraz z Polskim Towarzystwem Cyfrowym oświatowa Solidarność prowadziła badania dotyczące scenariuszy dla edukacji do 2040 roku. Wynika z nich, że polem, na którym rozegra się przyszłość pracy, jest edukacja.

– Tak, edukacja jest tym polem, na którym rozegra się przyszłość naszego kraju, ponieważ to szkoła przygotowuje przyszłe kadry do obsługi państwa. W istocie gra toczy się o szeroko dostępną, wysokiej jakości edukację publiczną. Są dwa scenariusze. Pierwszy zakłada nowoczesną, odpowiadającą na wyzwania cywilizacyjne edukację, która sprzyja rozwojowi indywidualnych talentów. Przygotowuje uczniów do samodzielnego i ciągłego poszukiwania wiedzy, jest nastawiona na większą indywidualizację. Z drugiej strony jest szkoła zmierzająca w stronę placówki terapeutyczno-socjalnej, nieefektywnej. Właściwą rolę edukacyjną przejmują placówki niepubliczne, ekskluzywne i za duże pieniądze, kształcące jednak tylko wąską grupę społeczeństwa. Bez reformy edukacji publicznej czeka nas podział społeczeństwa na kasty, między którymi przepływy będą bardzo utrudnione. 5–10% elity będzie zarabiać ogromne pieniądze, około połowy ludzi pracujących w usługach pozostanie w średniej medianie zarobków i niestety około 40% będą to osoby zmarginalizowane osiągające połowę średniej mediany, skazane na pomoc społeczną.

– W epoce industrialnej zasobem strategicznym były (są) surowce, w epoce cyfrowej zasobem strategicznym są informacja i wiedza. Transformacja edukacji i gospodarki od jednego do drugiego to mentalnie w polskich warunkach przewrót kopernikański. Czy elity rządzące są na to przygotowane?

– Absolutnie nie. Gdy rozmawiam o tym z przedstawicielami klasy politycznej, to mam wrażenie, że nie do końca to do nich dociera. Zgadzają się co do generaliów, ale nie mają świadomości, jak głęboka będzie to zmiana.

– „Z jednej strony obserwujemy postępującą degradację systemu edukacji publicznej oraz trwałą niekonkurencyjność instytucji szkolnictwa wyższego, z drugiej zaś – ambitną strategię budowy gospodarki opartej na innowacyjnych produktach o zasięgu globalnym". To klucz do rozmów o bezrobociu w niedalekiej przyszłości?

– Tak, na problem bezrobocia można patrzeć z różnych stron. Z jednej – to gaszenie pożarów, walka o istniejące miejsca pracy, to robi NSZZ „Solidarność" i to rola związków zawodowych. Z drugiej – trzeba myśleć, jak zapobiegać bezrobociu w niedalekiej w końcu przyszłości. Uważam, że samo gaszenie pożarów już nie wystarcza, my musimy projektować przyszłość. Zmiany technologiczne są tak ogromne, cyfryzacja tak głęboko ingeruje w niemal wszystkie dziedziny gospodarki, że na naszych oczach masowo znikają pewne zawody i pojawiają się nowe. Dzisiaj dostęp do wiedzy jest tak powszechny, że można wykształcić się poza formalnym szkolnictwem w bardzo wielu dziedzinach i zyskać odpowiednie certyfikacje. Dostęp jest, ale chodzi o to, by ktoś chciał i potrafił z tego skorzystać. Trzeba mu dać

eprasa.pl b71987bd04

świadomość, że będzie musiał z tego korzystać i podnosić, zmieniać kwalifikacje, przez całe życie.

– W gospodarce opartej na wiedzy system merytokratyczny jest bezwzględny: 8–12% „Innowatorów" z nowych technologii ma dochody 250–350% mediany krajowej. 50–55% „Wykonawców" z administracji i usług to 80–120% krajowej, Klasa C: 33–40% „Wykluczonych" bezrobotnych ma miesięczne 35–55% krajowej.

– Klasa C jest zmarginalizowana, żyje z pomocy społecznej w różnej formie, nie potrafi odnaleźć się w zmieniającej się rzeczywistości, jest niemoblina. Co więcej, szanse na przedostanie się z Klasy C wyżej wynoszą 2%. To swego rodzaju powrót do sytuacji ludzi, którzy żyli w upadłych PGR-ach w latach 90. XX wieku. Pamiętamy te obrazki. Z kolei Klasa A to osoby, które same zadbały o swoje wykształcenie. Ich sukces w dużej mierze wynika z edukacji pozaformalnej. Sami zdobywali mikrocertyfikacje potrzebne w ich dziedzinach aktywności zawodowej. Są to często uprawnienia i kompetencje nieujmowane nawet w formalnym systemie edukacyjnym w Polsce, jednak bardzo ważne z punktu widzenia określonych specjalności i dziedzin gospodarki.

– Co zatem zrobić, by Klasa C była jak najmniejsza?

– Trzeba poważnie przedyskutować w Polsce szkolnictwo zawodowe. U nas ciężar dyskusji skupiony jest bardziej na szkolnictwie ogólnym. Jasne, trzeba mieć ogólną wiedzę, nikt tego nie podważa, ale mamy coraz większy kryzys w szkolnictwie zawodowym, a ono wydaje się kluczowe nie tylko, jeśli chodzi o dobrze funkcjonującą gospodarkę, ale także gdy mowa jest o prognozowaniu bezrobocia. Trzeba prognozować kierunki szkół zawodowych już na poziomie powiatów, przewidywać ewolucję wielu zawodów, żeby się nie okazało, że zawód, w którym wyuczyliśmy danego ucznia, za pięć lat będzie już nieaktualny. W szkolnictwie wyższym musi zapanować większa elastyczność i współpraca z biznesem, szczególnie z dziedziny nowych technologii. Repatriacja specjalistów, którzy wyjechali z Polski, także jest niezwykle istotna. Nie można dopuszczać do sytuacji, do której doszło w sieci Łukasiewicz, w której ściągnęliśmy specjalistów z całego świata, po czym zespoły naukowe zostały rozwiązane. To samobójstwo.

W GOSPODARCE OPARTEJ NA WIEDZY KLUCZOWE BĘDĄ KOMPETENCJE.

– To brzmi paradoksalnie przy omawianiu bezrobocia, ale kryzysy kadrowy i luki pokoleniowe w wielu dziedzinach mogą pociągnąć za sobą jeszcze większe bezrobocie? Nauczyciel np. zajmuje 42. miejsce w rankingach prestiżu zawodowego.

– Tutaj mówimy o zastępowalności kadr, tak ważnej dla sprawnego funkcjonowania każdej instytucji. Z niżem demograficznym niewiele już zrobimy, dlatego trzeba uruchamiać programy mające na celu utrzymanie starszych pracowników w zawodzie. Do obsługi państwa będziemy mieli coraz mniej ludzi, ale nie jest to równoznaczne ze zmniejszaniem się bezrobocia, ponieważ w gospodarce opartej na wiedzy kluczowe będą kompetencje. Skoro edukacja ma decydować o jakości przyszłych kadr, to w szkole muszą być bardzo dobrzy nauczyciele. My jako NSZZ „Solidarność" wciąż alarmujemy, że w edukacji dzieje się źle, brakuje chętnych do wykonywania tego zawodu. Bez dobrze opłaconych, szanowanych i nie szykanowanych nauczycieli nie zbudujemy profesjonalnej kadry pedagogicznej na poziomie przez nas pożądanym. Obyśmy nie obudzili się za późno.

MAMY CORAZ WIĘKSZY KRYZYS W SZKOLNICTWIE ZAWODOWYM, A ONO WYDAJE SIĘ KLUCZOWE, GDY MOWA JEST O PROGNOZOWANIU BEZROBOCIA.

– Jak zatem możliwy jest zrównoważony rozwój gospodarki innowacyjnej w warunkach systemowego kryzysu instytucji edukacyjnych i naukowych i jakie są długoterminowe konsekwencje społeczne takiego modelu rozwoju?

– To już widać, rozwija się w Polsce wielka piątka największych metropolii, czyli Gdańsk, Warszawa, Poznań, Wrocław, Kraków, gdzie nauczycieli ściąga się na siłę, a na prowincji nauczycielom coraz trudniej dopiąć etat. Część nauczycieli spoza wielkich miast odejdzie na emeryturę, ale część straci pracę, nowi zaś wobec kryzysu demograficznego po prostu nie będą chcieli wybierać tej drogi ›

eprasa.pl b71987bd04

kariery zawodowej. Koło się zamyka. Pomagaliśmy jako oświatowa Solidarność opracowywać rozwój gospodarczy Polski na poziomie powiatów i adekwatnie do tego wychodzić z ofertą edukacyjną, by zatrzymywać ludzi na miejscu. To może zmniejszać skutki niżu demograficznego, co z kolei przekłada się na mniejsze bezrobocie. Na problem bezrobocia trzeba patrzeć holistycznie.

– W rekomendacjach dotyczących edukacji przyszłości proponuje się w tym opracowaniu większą elastyczność, indywidualizację w podejściu do nauczania.

– Ten akurat fragment budzi moje obawy. Z punktu widzenia biznesowego to dobry kierunek rozwoju, jednak z punktu widzenia integralności społecznej to duże wyzwanie. Tutaj trzeba kompromisu, np. szkoły zawodowe dla lokalnego biznesu, ale równocześnie dające szanse dalszego awansu zawodowego uczniów. To szkoły dające podstawy do zdobywania umiejętności także w dziedzinach pokrewnych. Szkoła jest tutaj platformą dającą pewne mocne podstawy z możliwością rozwoju i hybrydyzacji wyuczonych zawodów. Rozmawiam z biznesem i słyszę, że lepiej zatrudnić humanistę znającego trzy języki od kogoś, kto ma wysokie umiejętności cyfrowe, bo umiejętności cyfrowych można kogoś wyuczyć w kilka miesięcy, a trzech języków już nie. Rzetelna podstawa musi zatem być, a elastyczność ma uwzględniać lokalny rynek pracy.

JEŚLI TY CZEGOŚ NIE ROZSTRZYGNIESZ, ZOSTANIE TO ROZSTRZYGNIĘTE POZA TOBĄ.

– W omawianym scenariuszu jest hipoteza mówiąca, że Polska w latach 2025–2040 rozwinie specyficzny model „ekosystemu innowacji pozainstytucjonalnych". Będą jakieś antagonizmy z systemami oficjalnymi?

– Tak, przewiduję antagonizmy, jednak to nie przyszłość, to już się dzieje. Mamy już teraz nie kilka, ale kilkadziesiąt ścieżek rozwoju, często są to ścieżki poza oficjalnym systemem edukacyjnym. Oczywiście rodzi to konkurencję, jednak to już rzeczywistość, która funkcjonuje. Ba, system edukacji w Polsce nie jest jednolity, kwalifikacje zdobywa się na bardzo różnych poziomach i z różnych źródeł, a będzie jeszcze większe zróżnicowanie. Widzę to sam po sobie, nie jestem już nauczycielem, jestem szefem sekretariatu oświaty w związku zawodowym, wykształciłem zupełnie inne umiejętności i kwalifikacje, a teraz siedzę nad ustawami i prawem oświatowym być może więcej niż niejeden prawnik.

– Do roku 2040 wykształci się 300–400 nowych kategorii zawodowych, jak sektor edukacyjny powinien odpowiadać na dynamikę powstawania zawodów w gospodarce innowacyjnej?

– Zdajemy sobie sprawę, że tak będzie, mówimy o tym, robimy badania i dajemy je samorządom, ministerstwu, jednak to od nich zależy, czy z nich skorzystają, czy nie. Mam wrażenie, że mentalnie i strukturalnie tego nie przerobiliśmy. W projektowaniu przyszłości nie widać tych wyzwań. Mój ulubiony filozof Karl Jaspers mówił, że jeśli sam czegoś nie rozstrzygniesz, to zostanie to rozstrzygnięte poza tobą. Czy zawsze musimy biernie odpowiadać na problemy, czy możemy być stroną inicjującą? Jestem pod wrażeniem, jak robi to województwo pomorskie. Oni projektują przyszłość. Bardzo rozwijają branże związane z turystyką, ale także z transportem. Bez projektowania rozwoju w skali mikro nie będziemy skutecznie zapobiegać bezrobociu.

– Przewiduje się przekwalifikowanie dla 100 000 osób rocznie. Być może tutaj jest rola związków – wzięcie ludzi, którzy stracili pracę i są w kryzysie, za rękę, skierowanie w stronę zdobycia nowego zawodu?

– Tak uważam, widzę tutaj rolę związków. Zresztą Związek pomaga zwalnianym kolegom jak może, jednak trzeba już myśleć o rozwiązaniach bardziej systemowych. To nasze zadanie jako związków zawodowych w nowych czasach.

– Coraz częściej przekonuję się do teorii spiskowej, że 1% na naukę polską to działanie wrażych sił, szczególnie teraz, gdy zaczyna dominować gospodarka oparta na wiedzy. Mamy pozostać podwykonawcą i stąd ten symboliczny procent?

– Z kolei dla mnie to nie jest teoria spiskowa. Mimo tak niskich nakładów na naukę nasi naukowcy i studenci odnoszą sukcesy międzynarodowe. W ramach UE jest ogromna konkurencja i może się to nie podobać, że Polska stanowi dodatkową konkurencję. Skoro Polska ma być podwykonawcą i montownią, to trzeba odbierać jej szanse na rozwój nauki. Skoro Cypr potrafi wydawać 8% PKB na edukację, to o czym mówimy? Gdzie tutaj znajduje się Polska?

Dr Waldemar Jakubowski jest pedagogiem, przewodniczącym Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl b71987bd04

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Izrael, nasz polski kłopot

Jan Wróbel

Kiedyś do dobrego tonu należało wymawianie nazwy tego państwa półgłosem, żeby przypadkiem nie urazić Żydów. Dzisiaj odwrotnie – należy ją wykrzykiwać, potępiając. Urażaniem Żydów już nikt się nie przejmuje. Wystarczy tylko zastrzec, że nie jest się antysemitą, a potem już droga wolna: Izrael, niczym w przemówieniach Gomułki z 1967 czy 1968 roku, jest krajem potępianego żydowskiego nacjonalizmu. W kolejnych apelach kolejnych środowisk poczuwających się do roli sumienia świata wzywa się do bojkotowania filmowców, sportowców, muzyków etc. z państwa, które dokonuje zbrodni na Palestyńczykach.

Bo dokonuje. Sprawa palestyńska ma od dekad zagorzałych obrońców głównie w kręgach nowej lewicy. Nie raz, nie dwa, idealizowali oni Hamas i inne bojowe organizacje promujące terroryzm wymierzony w Żydów. Władze Izraela natomiast demonizowano. Jednak po wojnie rozpętanej w odwecie na barbarzyńskie mordy dokonane przez Hamas w 2023 roku Izrael okazał się tak zły, jak przedstawiano go w najbardziej wrogich mu broszurach. Można toczyć definicyjny spór o prawne pojęcie „ludobójstwo", ale w mowie potocznej nie ma wątpliwości, że pojęcie jest adekwatne.

I co my na to? Dla polskiej dyplomacji temat pozostaje delikatny. Z jednej strony realistycznie oceniamy, że Donald Trump nikogo pośród polityków (poza samym Trumpem) nie wychwala tak gorąco, jak premiera Izraela. Z drugiej – mamy świadomość, jak zawiłe są nasze własne dzieje relacji z Żydami, rzutujące na stosunki polsko-izraelskie. Wybieramy zatem – i nie wygląda na to, by ewentualne rządy pisowskie przyniosły zmianę – politykę ostrożnego potępiania Izraela od czasu do czasu, mało pryncypialnie. Mniej więcej tak zachowuje się „mejnstrim" polskiej polityki i główne redakcje.

Bardzo dobrze – powie ktoś. Realizm w polityce nikomu jeszcze nie zaszkodził, a mamy tyle narodowych doświadczeń z niedostatkiem realizmu, że chociaż raz bądźmy na nie, kiedy wołają o solidarność z krzywdzonymi. Bo nam się ta solidarność nie opłaci.

Ale... Czy naprawdę to się nam opłaci, gdy Zachód uzna, że wartości w polityce nie odgrywają żadnej roli? Liczą się tylko ropa, metale ziem rzadkich i przywileje handlowe, reszta to ściema dla dzieci? Tak myśląc, dochodzimy do udowodnienia sobie, że odwrotnością braku zasad jest szkodliwe bujanie w obłokach. Tak jednak nie jest! Odwrotnością braku zasad jest mądrość. W polityce lepiej być ostrożnym niż narwanym, to jasne, a w ogóle, jak to w życiu, lepiej by mądrym niż głupim. Mądrym (wybaczcie kaznodziejski ton, piszę w pierwszych dniach Wielkiego Postu) to znaczy odróżniającym dobro od zła.

A solidarność z napadniętymi, jako powszechnie podzielana wartość, to się nam jeszcze może przydać. Oby nie, ale między Bugiem a Łabą różnie bywa.

W POLITYCE, JAK W ŻYCIU, LEPIEJ BYĆ MĄDRYM – I ODRÓŻNIAĆ DOBRO OD ZŁA.

eprasa.pl b71987bd04

Podpięci pod awans

Tej grupy nie dotyczą masowe zwolnienia – bo to wolny zawód, **zawsze obarczony ryzykiem**. Mimo to w PRL-u twórcy-freelancerzy właśnie tę wolność uważali za przywilej. Tak, na początku trzeciego tysiąclecia, kiedy minęła „wolnościowa" euforia, zrozumieli, jak bardzo są zagrożeni socjalnie.

Monika Małkowska

Proj. K. Karnkowski

Za pierwszego Tuska strajkowali, manifestowali środowiskową solidarność, skakali Platformie Obywatelskiej do gardła za odebranie 50% kosztów uzyskania przychodu. Zmienili front za rządów PiS – bo wtedy przegrany obóz uruchomił wszelkie socjotechniczne mechanizmy, by inteligencji, ludziom kultury i sztuki wdrukować nienawiść oraz pogardę do prawicy. Po wyborach w 2023 r. polscy „europejczycy" odtrąbili zwycięstwo. Jednocześnie pozostali ślepi i głusi na wszelkie przewały, łamanie prawa i inne „nierządy" rządu. Teraz w zwartym szyku plują na prezydenta Karola Nawrockiego oraz jego rodzinę. To też konsoliduje. Wszyscy znają inbę z wywiadem, którego niedawno udzieliła Marta Nawrocka w TVN24. Dziennikarka z „GW" stała się trybuną (trybunem?) salonów, stwierdzając, że Pałac Prezydencki to za „wysokie progi" dla państwa Nawrockich. Za tym klasistowskim komentarzem czają się kompleksy – przecież lwia część kulturalnego światka uformowanego w III RP pochodzi z małych miasteczek lub z blokowisk.

Neoliberalna bieda

Po przełomie 1989 r. twórcy III RP poczuli się źle. Dotyczyło to zwłaszcza autorów sztuk wizualnych oraz działających w tym sektorze kuratorów i krytyków. Dookoła społeczeństwo zaczęło się bogacić, legalnie bądź dzięki lukom prawnym. Artyści takich możliwości nie mieli. Dotarło do nich, że brak im kasy, prestiżu i uwagi tak ze strony szerokiej publiczności, jak i władz. Słowem, bezpowrotnie utracili uprzywilejowaną pozycję, jaką mieli w PRL-u i utrzymali w dobie karnawału Solidarności, a nawet w dekadzie po stanie wojennym, kiedy „wypadało" bojkotować publiczne instytucje. W kapitalistycznej Polsce stracił sens inteligencki etos poświęcania się misji, idei czy realizowaniu powołania. Po wejściu Polski do UE pewną nadzieję dawały buńczuczne zapowiedzi, że wreszcie „włączamy się w światowy krwiobieg kultury". Jednak rychło okazało się, że dotyczy to garstki wybrańców. Pozostałych twórców zepchnięto na margines. Na własnej skórze odczuli negatywne strony neoliberalnej transformacji, której wcześniej doświadczyły zachodnie społeczeństwa. W 2012 Kuba Szreder, krytyk sztuki, konstatował: „Jej piewcy [neoliberalnej polityki – przyp. M.M.], szermując hasłami ekonomicznej racjonalności, krok po kroku zdołali podporządkować społeczeństwa interesom najbogatszych, właścicieli i zarządców kapitału. Procesy te doprowadziły do koncentracji bogactwa na skalę globalną, rozmontowania systemów zabezpieczeń społecznych, zubożenia klasy średniej i szerszych warstw

eprasa.pl b71987bd04

społecznych, w tym większości samych artystów, chociaż niewielka część z nich dzięki globalnej akumulacji bogactwa osiąga niebotyczne dochody".

Próby solidarności

W pierwszej potransformacyjnej dekadzie ratunkiem dla absolwentów Akademii Sztuk Pięknych było załapanie się na belferkę. Tę możliwość dawały powstające jak grzyby po deszczu niepubliczne szkoły artystyczne, które tak jak uczelnie państwowe oferowały studia licencjackie, magisterskie i podyplomowe. Stało się normą wśród magistrów i doktorów sztuki prowadzenie zajęć w kilku szkołach jednocześnie, nawet daleko od miejsca zamieszkania. Z naborem kandydatów nie było problemu, do studiowania sztuki rwały się rzesze „utalentowanych", którzy nie bardzo wiedzieli, gdzie i jak zakotwiczyć w kapitalistycznym świecie. Po tych wszystkich studiach, licencjatach i kursach wychodziły rokrocznie setki młodych ludzi aspirujących do roli artystów. Podobnie okupowane były kierunki kulturoznawcze, studia menedżerów kultury, zarządzania kulturą, krytyków sztuki, edukatorów sztuki itp., itd. Tymczasem wolny rynek jeszcze nie stworzył odpowiedniej liczby miejsc pracy. Całe zastępy młodych freelancerów żyły w stanie frustracji i poczuciu ryzyka ekonomicznego. I oto w 2009 r. powstało Obywatelskie Forum Sztuki Współczesnej, z inicjatywy artystów, krytyków sztuki i kuratorów w celu „osiągnięcia wpływu na potrzebne środowisku zmiany prawne i instytucjonalne, które pozwoliłyby na właściwy rozwój tej dziedziny kultury". Wtedy też pojawiła się koncepcja wywalczenia od MKiDN praw pracowniczych dla artystów – czyli pensji, emerytur i ubezpieczeń zdrowotnych. Założenia OFSW były piękne, demokratyczne i kompletnie nie przystające do realiów. Organizacja (ostatecznie zarejestrowana w KRS jako stowarzyszenie w kwietniu 2023 r., jeszcze za rządów PiS) postulowała m.in. „działania na rzecz równości w polu sztuki oraz przeciwdziałanie wszelkim wykluczeniom; działania na rzecz budowania solidarności środowiskowej; działania na rzecz integracji środowisk twórczych".

Był sobie prekariat

W 2011 r. ukazała się książka Guya Standinga „Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa" i wtedy twórcy zrozumieli, że zaliczają się do tej grupy. Zauważyli też, że są wykorzystywani przez polityków dla wykreowania pozytywnego wizerunku naszego kraju za granicą, co szczególnie stało się widoczne podczas polskiej prezydencji w UE i „polskich sezonów" organizowanych w różnych krajach Europy. Nie było to miłe dla osób z wybujałym ego, a takowe posiada większość artystów. Był jednakże jeden plus: przedstawiciele twórczych profesji poczuli solidarność z wieloma innymi ludźmi w Polsce bez stabilnego zatrudnienia, bez szans na emerytury, urlopy czy zwolnienia chorobowe. Dotyczyło to m.in. większości dziennikarzy zarówno

ZA PIERWSZEGO TUSKA FREELANCERZY STRAJKOWALI, SKAKALI PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ DO GARDŁA ZA ODEBRANIE 50% KOSZTÓW UZYSKANIA PRZYCHODU.

eprasa.pl b71987bd04

w mediach prywatnych, jak i publicznych. Mediaworkerzy i twórcy trzymali wtedy sztamę, bo połączyła ich wspólna frustracja. Dzięki mediom o prekariacie zrobiło się głośno. Pisano o tym, mówiono, organizowano dyskusje. Tylko że społeczeństwo niewiele sobie z tego robiło. Biedniejsza część narodu w ogóle nie interesowała się sytuacją wolnych zawodów. Zamożniejsi, jeśli chcieli zamanifestować zainteresowanie kulturą, uczestniczyli w aukcjach, chodzili na premiery do teatru i do opery oraz na spektakle działającego od 2012 r. kabaretu Pożar w Burdelu. Żeby wykrzyczeć swoje pretensje do rządu, ludzie sztuki postanowili zastrajkować.

Strajkujemy!

I oto 24 maja 2012 r. ogłoszono w Polsce „Dzień bez sztuki". Motorem akcji było przywołane powyżej Obywatelskie Forum Sztuki Współczesnej. Zainicjowany przez nie strajk polegał na jednodniowym zamknięciu około 100 muzeów i galerii w całym kraju. W porywie solidarności z twórcami także niektóre instytucje kultury pozostawały tego dnia zamknięte. W „Gazecie Strajkowej", wydanej z okazji wydarzenia, apelowano do rządu o podjęcie z twórcami rozmowy. „Żądamy rozpoczęcia prac nad stworzeniem takiego systemu, który nie wyrzucałby artystów poza nawias społeczeństwa!". A dalej: „Za ich sytuację socjalną nikt nie czuje się odpowiedzialny. W Polsce nie ma żadnych rozwiązań systemowych, uwzględniających specyfikę zawodu artysty". Jak na razie nie widać skutków, choć co jakiś czas podejmowane są negocjacje w celu poprawy warunków socjalnych twórców. Tylko najpierw trzeba ustalić, kto pod tę definicję podpada. Po latach wałkowania tematu oszacowano, że środowisko artystyczne w Polsce liczy około 60 tysięcy osób. Niecały miesiąc temu, 22 stycznia br., ministra kultury Marta Cienkowska przedstawiła w Sejmie RP projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów zawodowych oraz pracowników sektora kultury i sektora kreatywnego. A choć prace nad legislacją zabezpieczenia socjalnego twórców rozpoczęło PiS, sami zainteresowani chętnie o tym zapomną. Bo „elity" odrzucają wszystko, co kojarzy się z prawicą.

Zmiana wektorów

To była długa operacja, ale uwieńczona sukcesem: potransformacyjny kulturalno-inteligencki prekariat poczuł się establishmentem. Proces odbywał się wieloetapowo. Krok pierwszy: skaptowanie nowych sił. A więc – transfer młodych z małych ośrodków do wielkich miast. Ich kariery przypominają te z czasów socu, kiedy ludowa władza ułatwiała „ludziom pracy" zdobycie wykształcenia, następnie obsadzając nimi zakłady prace, uczelnie, media. Dzięki temu proletariusze pasowani na inteligentów pozostawali komunie wdzięczni za awans. Współczesne lewicowe władze zastosowały podobną technikę. Nowa inteligencja humanistyczna jest w swej masie pierwszym pokoleniem z wyższym (?) wykształceniem. Zdobywano je po transformacji, na kierunkach nieistniejących w PRL-u, wprowadzonych do uczelnianego repertuaru wraz z nową ideologią i aspiracjami doszlusowania do Europy. Zresztą, nie wszyscy studiowali, niektórym wystarczał licencjat, a choćby i kursy online. Początkowo „młodzi wykształceni" czuli się wygrani: rodzina pomagała im wyrwać się z prowincji, zamieszkać w wielkich miastach, gdzie poczuli się światowcami, a jako tacy zrywali „kompromitujące" ich kontakty z rodzimą tradycją. Do pełnej satysfakcji brakowało im społecznego prestiżu. Tu zaczyna się drugi etap mentalnej operacji: stworzenie miejsc pracy dla młodych, którzy skończyli studia na kierunkach raczej zbędnych w turbokapitalizmie. Do nich zaliczali się m.in. specjaliści od kultury i sztuki, a także zastępy niewiele potrafiących artystów. Kulturalno-artystycznemu prekariatowi na początku dano ochłapy – staże lub zajęcia dorywcze wokół kultury. Jednak lewicowo-liberalne władze wiedziały, że aby panować nad tym sektorem, trzeba dorzucić do pieca. Toteż utworzono dziesiątki nowych budżetowych instytucji kultury, w których znajdowali zatrudnienie ci, o których pisałam powyżej. Pozytywne rezultaty dał też rozbudowany system stypendiów, grantów i innych subsydiów. Poprawa materialnych warunków to był trzeci etap procesu pozyskiwania młodej oraz w średnim wieku artystycznej „elity". W rezultacie mamy grupę, którą cechują niesamodzielność myślowa, instynkt stadny tudzież strach przed ewentualną anatemą w razie podejrzenia o prawicowe sympatie. Toteż nie dziwmy się, że nikt z tego środowiska nie stanie w obronie kogokolwiek z rodziny Nawrockich.

PRZEDSTAWICIELE TWÓRCZYCH PROFESJI POCZULI SOLIDARNOŚĆ Z INNYMI LUDŹMI BEZ STABILNEGO ZATRUDNIENIA, BEZ SZANS NA EMERYTURY, URLOPY CZY ZWOLNIENIA CHOROBOWE.

eprasa.pl b71987bd04

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Polityczne przedszkole w PiS

Wystarczyła chwila nieobecności Jarosława Kaczyńskiego, by politycy PiS publicznie skoczyli sobie do gardeł. I choć sam spór w tak dużym obozie jest czymś naturalnym, to pozostają pytania o jego cel i konsekwencje. Wyborcy, co pokazują ostatnie sondaże, także mają swoje granice.

To, co widzieliśmy w poprzednich tygodniach, u wyborców PiS może budzić niesmak i frustrację. Trudno bowiem nie odnieść wrażenia, że w sytuacji katastrofalnych rządów Donalda Tuska politycy PiS postanowili zająć się czymś, co ostatnio bardzo polubili, czyli sami sobą. I nie zmienią tego zaklęcia Jarosława Kaczyńskiego oraz apele do mediów prawicowych, by bardziej eksponowały aktywność PiS, bo jest jej o wiele więcej niż wewnętrznych sporów. Może i tak, ale niestety prawdą jest, że to sam PiS potrafi ją skutecznie przykrywać. Zwłaszcza gdy się wie, że nieprzychylne media będą to bezlitośnie wykorzystywać i podgrzewać. Po co więc dostarczać im regularnie paliwo?

Spór, który obserwujemy w PiS, nie jest oczywiście niczym nowym. Trwa on – z różną częstotliwością – już od blisko dziesięciu lat. Warto sobie przypomnieć, jak wyglądały relacje na linii Mateusz Morawiecki – Solidarna/Suwerenna Polska. Owszem, łączyła ich koalicja i władza, ale dzieliło niemal wszystko inne. Dziś widzimy echo tego sporu, którego najnowsza odsłona zaczęła się po wyborach parlamentarnych w 2023 roku i utracie władzy przez PiS.

Wielu polityków domagało się wówczas bowiem wewnętrznej dyskusji i rozliczeń za taki stan rzeczy, a więc w praktyce odsunięcia na boczny tor Mateusza Morawieckiego i jego środowiska. Prezes PiS, w obawie przed pęknięciami w partii, temat momentalnie uciął, a winę wziął na siebie. To oczywiście nie sprawiło, że problem zniknął, a wręcz przeciwnie – zaczął on coraz mocniej zatruwać partię. W efekcie co jakiś czas obserwujemy jego kolejne odsłony, jak ta ostatnia, przy okazji spięcia na Ryszarda Terleckiego z Sebastianem Kaletą.

Faktem jest, że w największej partii opozycyjnej mamy obecnie dwie główne frakcje – Mateusza Morawieckiego oraz jego zaciekłych przeciwników, którzy zawarli taktyczny sojusz. W ślad za tym, mamy dwie różne koncepcje polityczne na przyszłość partii. Środowisko byłego premiera przekonuje, że PiS powinien skupić się przede wszystkim na gospodarce i programach prorozwojowych oraz być partią centroprawicową. Z kolei przeciwnicy Morawieckiego (np. Patryk Jaki, Przemysław Czarnek czy Jacek Sasin) argumentują, że Polska się zmienia i – podobnie jak Europa i świat – skręca w prawo, w związku z czym kurs partii powinien być bardziej wyrazisty, tożsamościowy i ideowy, by zatrzymać odpływ wyborców.

Jarosław Kaczyński, w myśl zasady dziel i rządź, do tej pory starał się równoważyć obie frakcje i żadnej nie faworyzować, ale jednocześnie widać, że ta taktyka zaczyna się wyczerpywać. Przed prezesem PiS jest więc trudny orzech do zgryzienia, choć nie z takimi już sobie radził. Politycy PiS powinni jednak pamiętać, że jest ktoś, kto z uwagą śledzi wszystkie te spory i zaciera ręce. To Donald Tusk.

eprasa.pl b71987bd04

Polityczna egzekucja W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Czy Donald Tusk wydał wyrok na Polskę 2050?

A co, jeśli rozłam w Polsce 2050 **nie był przypadkiem**, lecz precyzyjną polityczną operacją przeprowadzoną na zlecenie Donalda Tuska? Brzmi jak teoria spiskowa? Niekoniecznie. Fakty układają się w logiczną, choć przerażającą dla koalicjantów całość. Można odnieść wrażenie, że zemsta Donalda Tuska na Szymonie Hołowni właśnie się domknęła i w pełni dokonała.

Andrzej Gajcy

Przewodnicząca Polski 2050 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska, która stała się twarzą rebelii

Fot. Adam Chelstowski / Forum

eprasa.pl b71987bd04

Losy Polski 2050 powinny być przestrogą dla każdego, kto marzy o budowie „nowej jakości” na polskiej scenie politycznej. Partia Hołowni miała być nadzieją dla wyborców centrum, zmęczonych trwającym dwie dekady duopolem PO – PiS. Piękne marzenie o „trzeciej drodze” rozbiło się jednak o brutalną grę o władzę. Zarówno założyciel ruchu, jak i nowa przewodnicząca Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz boleśnie przekonali się, że w polityce nie da się przeskoczyć z pierwszej klasy prosto do ósmej. Hołownia wydaje się, że nie podołał ciężarowi przywództwa, a największe problemy ugrupowania zaczęły się – co trzeba napisać wprost – właśnie przez jego błędy.

Gdy w październiku ubiegłego roku na łamach „Tygodnika Solidarność” (nr 41/2025) stawiałem tezę o „zamachu na Hołownię”, który wykonać miano za rzekome zatrzymanie planów „zamachu stanu” i przyjęcie zaprzysiężenia od prezydenta Karola Nawrockiego, za co Hołownia miał trafić na czarną listę premiera, wielu działaczy Polski 2050 pytało o twarde dowody. Przyznawali, że im także taka myśl niejednokrotnie przeszła przez głowę. Nie rozumieli bowiem, dlaczego ich lider nagle ogłosił porzucenie polityki krajowej i zrezygnował z walki o reelekcję w partii na rzecz – skazanej z góry na porażkę – próby zdobycia stanowiska komisarza ONZ ds. Uchodźców (UNHCR). Do dziś zagadką pozostaje, kto podsunął mu ten samobójczy pomysł. Czy to była „złota klatka”, którą Tusk obiecał Hołowni, byle tylko pozbyć się go z krajowego podwórka? Faktem jest jednak, że tamte jesienne ruchy przypieczętowały dzisiejszy los formacji.

Kryzys pod presją

Motywacje Hołowni wciąż budzą wątpliwości i mogą mieć drugie, mroczniejsze dno. Informacje o „głębokim kryzysie zdrowotnym” i przyjmowaniu silnych leków mogą być tylko częścią bolesnej prawdy. Kluczowe pytanie brzmi: co wywołać miało tak silne załamanie u osoby piastującej jeden z najważniejszych urzędów w państwie? Jak ogromnej presji musiał zostać poddany, by podjąć najgorsze z możliwych decyzji dla swojej formacji i dla swojej politycznej przyszłości?

Hipoteza o tym, że Hołownia został do tych kroków zmuszony przez Donalda Tuska, z każdym tygodniem staje się coraz bardziej prawdopodobna. To już nie tylko publicystyczna teza, ale coraz częstsze przekonanie także wśród polityków, którzy pozostali u boku Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. W kuluarach mówią wprost: „Gdybyśmy mieli na to twarde dowody, byłoby już po koalicji. Na razie musimy robić dobrą minę do złej gry”.

Twardych dowodów – w postaci taśm czy dokumentów – prawdopodobnie jednak nikt nie dostarczy. W polityce rzadko zostawia się pokwitowania na zniszczenie koalicjanta. Lecz brak „taśm” czy dowodów nie oznacza jednak, że Donald Tusk nie przyłożył swojej ręki do rozłamu Polski 2050.

> WYDAJE SIĘ, ŻE HOŁOWNIA NIE PODOŁAŁ CIĘŻAROWI PRZYWÓDZTWA, A NAJWIĘKSZE PROBLEMY UGRUPOWANIA ZACZĘŁY SIĘ PRZEZ JEGO BŁĘDY.

Parasol ochronny nad „rebeliantami”

Pewne jest, że w dniach poprzedzających wybuch rebelii odbywały się zakulisowe rozmowy premiera z Pauliną Hennig-Kloską oraz europosłem Michałem Koboską. To ten ostatni uruchomił lawinę odejść z Polski 2050, uderzając w nową przewodniczącą Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz oskarżeniami o dyktaturę niczym za Jaruzelskiego, brak demokracji i skręt w lewo. Czy możliwe, że ta narracja, powtarzana potem jak mantra, została uzgodniona w gabinecie szefa rządu, a Kobosko spiskował potajemnie już wtedy o rozłamie w partii z liderem koalicji rządzącej? Jeśli tak było, to zupełnie oczywiste staje się, dlaczego Hołownia nazwał publicznie Koboskę, z którym zakładał przecież Polskę 2050, „zdrajcą”.

Nie jest tajemnicą, że tuż przed ogłoszeniem secesji i powołaniem sejmowego klubu „Centrum” minister klimatu Paulina Hennig-Kloska także rozmawiała z Tuskiem, który obiecać miał jej podobno zachowanie status quo w rządzie, nawet jeśli Pełczyńska-Nałęcz będzie się domagała ich odwołania w wyniku odejścia „rozłamowców” z Polski 2050. Te „żelazne gwarancje” miały stać się decydującym impulsem do kolejnych wydarzeń i podziału

eprasa.pl b71987bd04

klubu parlamentarnego dokładnie na pół.

Zarówno Hennig-Kloska, która stała się twarzą rebelii, jak i Paweł Zalewski – obecny wiceszef MON, który chwilę wcześniej ogłosił wyjście z Polski 2050 i pozostanie posłem niezrzeszonym – mają mieć zagwarantowane posady ministerialne mimo wycofania partyjnych rekomendacji przez Polskę 2050. Premier nie zamierza ich odwoływać, co de facto oznacza stanięcie po stronie rebelii i upokorzenie nowej liderki Polski 2050.

Kapitulacja czy bolesna prawda?

Co więcej, sama Pełczyńska-Nałęcz zdaje się być w pełni świadoma dealu, jaki zawrzeć mieli „dezerterzy" z samym Donaldem Tuskiem, bo – jak sama poinformowała – nie zamierza się domagać wymiany ministrów ani proponować kogoś z Polski 2050 na te funkcje. Dlaczego? Czy to kapitulacja? Zamiast twardej walki o wymianę ministrów-zdrajców nowa liderka Polski 2050 wydaje się pogodzona z sytuacją. – Wiemy, że premier nikogo nie odwoła – mówią jej współpracownicy. I dodają: – Donald Tusk pokazał, że to on, a nie umowa koalicyjna, decyduje o tym, kto jest ministrem z nadania Polski 2050. Tę rozgrywkę przegraliśmy podobnie, jak sprawę wicepremiera. Premier Tusk wyszedł na politycznego kłamcę i powinien się wstydzić.

Strategia spalonej ziemi

W Polsce 2050 nikt dzisiaj nie ma złudzeń, że gdyby nie „parasol ochronny" samego Donalda Tuska, do rozłamu i podziału w ugrupowaniu by teraz nie doszło. A może wcale by to nie nastąpiło na taką skalę. Choć – jak przyznają zwolennicy Pełczyńskiej-Nałęcz – nie udało się „rozłamowcom" w pełni zrealizować celu, jakim miała być degradacja klubu Polski 2050 do koła poselskiego. Ten plan miał się nie powieść, choć właśnie to miał zakładać podobno plan maksimum.

Wielki Strateg i jego „wypełniacze list"

Warto postawić kluczowe pytanie: kto zyskuje na tym całym chaosie w Polsce 2050? Odpowiedź jest oczywista: najbardziej Donald Tusk. Nie tylko pozbył się zagrożenia ze strony Hołowni czy Pełczyńskiej-Nałęcz, ale też zyskał nową grupę polityków – klub „Centrum" – którzy są mu teraz dłużni wszystko i ich stanowiska w rządzie zależą tylko od niego. Dziś wydaje się, że rzeczywiście będą idealnym „wypełniaczem list" Koalicji Obywatelskiej w 2027 roku, jeśli lider uzna, że są mu za te półtora roku jeszcze do czegoś potrzebni.

Polska 2050 potrzebuje „cudu"

Partia Pełczyńskiej-Nałęcz zaliczyła polityczny nokdaun. Na półtora roku przed wyborami, z sondażami na poziomie błędu statystycznego, wyjście z tego kryzysu graniczyłoby z cudem. Donald Tusk, znany z bezwzględności, prawdopodobnie nie przegapi okazji, by ostatecznie posłać ten projekt w polityczny niebyt i wbić Polsce 2050 nóż w plecy. Być może zgodzi się także na tekę wicepremiera dla liderki „Centrum" Pauliny Henning-Kloski albo na odwołanie z funkcji wicemarszałka Sejmu Szymona Hołowni. Jednocześnie, dążąc do wyciągnięcia jeszcze kogoś z Polski 2050, doprowadzi do zdegradowania tego klubu do koła poselskiego. Dziś szef rządu może być już pewien, że Polska 2050 nie jest w stanie zachwiać większością w koalicji, która mimo tych perturbacji wydaje się niezagrożona aż do wyborów w 2027 roku.

DLACZEGO LIDER POLSKI 2050 NAGLE OGŁOSIŁ PORZUCENIE POLITYKI KRAJOWEJ I ZREZYGNOWAŁ Z WALKI O REELEKCJĘ?

DĄŻĄC DO WYCIĄGNIĘCIA JESZCZE KOGOŚ Z POLSKI 2050, TUSK DOPROWADZI DO ZDEGRADOWANIA TEGO KLUBU DO POSELSKIEGO KOŁA.

eprasa.pl b71987bd04

XI EUROPEJSKI KONGRES SAMORZĄDOWY W MIKOŁAJKACH

Samorząd blisko ludzi. Rekordowe zainteresowanie Kongresem w Mikołajkach

Już za tydzień Mikołajki staną się stolicą polskiej i europejskiej samorządności. XI Europejski Kongres Samorządów, będący największą w kraju platformą wymiany doświadczeń dla liderów lokalnych wspólnot, bije kolejne rekordy frekwencji. W czasach niepewności i dynamicznych zmian dialog o przyszłości naszych „małych ojczyzn" staje się ważniejszy niż kiedykolwiek.

Konrad Wernicki

Fot. materiały prasowe

Ponad 2500 zarejestrowanych gości – liderów politycznych, przedstawicieli administracji centralnej, naukowców, ludzi kultury oraz, co najważniejsze, praktyków samorządności z Polski i zagranicy – spotka się w sercu Mazur, by rozmawiać o wyzwaniach, przed którymi stoją polskie gminy, powiaty i województwa. Partnerem głównym wydarzenia jest Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Fundament podmiotowości

Zgodnie z duchem pomocniczości to właśnie samorząd terytorialny jest najbliżej codziennych spraw obywateli. Misję tę podkreśla marszałek województwa warmińsko-mazurskiego Marcin Kuchciński:

– W czasach dynamicznych przemian, rosnących oczekiwań społecznych i nowych wyzwań dotyczących jakości życia mieszkańców potrzebujemy przestrzeni do rozmowy bardziej niż kiedykolwiek. To właśnie na takich spotkaniach rodzą się idee, które wpływają na rozwój naszych miast, gmin i regionów – wskazuje marszałek w słowie wstępnym zapowiadającym tegoroczną edycję.

Kuchciński zauważa również, że siłą samorządności jest otwartość na drugiego człowieka i merytoryczny spór, który buduje, a nie dzieli. – Kongres daje przestrzeń, by potrzeby współczesnych mieszkańców wybrzmiały jasno i zdecydowanie – dodaje.

Rekordy, które zobowiązują

Skala wydarzenia rośnie z roku na rok. Poprzednia, jubileuszowa edycja Kongresu zgromadziła ponad 2800 uczestników, w tym ponad tysiąc samorządowców. Tegoroczna zapowiada się równie imponująco. Co przyciąga do Mikołajek tak szerokie grono decydentów? Przede wszystkim merytoryka. Uczestnicy wskazują na unikalną możliwość konfrontacji lokalnych doświadczeń z planowanymi regulacjami prawnymi oraz szansę na podejrzenie innowacyjnych rozwiązań z zagranicy, które można zaszczepić na polskim gruncie.

Ważnym aspektem tego wydarzenia jest także szeroka reprezentacja świata gospodarki. Ponad 160 partnerów biznesowych, instytucjonalnych i medialnych tworzy ekosystem, w którym samorząd nie jest traktowany jedynie jako administrator terenu, ale jako kluczowy impuls rozwojowy dla całego państwa.

Ponad 250 debat o przyszłości

Program XI Europejskiego Kongresu Samorządów to prawdziwy maraton intelektualny: przeszło 250 wydarzeń, w tym sesje plenarne, panele dyskusyjne, warsztaty oraz spotkania autorskie.

Wyjątkowo w tym roku Kongres rozpocznie się w niedzielę. Już 1 marca w Hotelu Gołębiewski odbędą się specjalne wydarzenia towarzyszące, na które organizatorzy zapraszają wszystkich zarejestrowanych gości. Udział w niedzielnych spotkaniach jest bezpłatny.

W dobie globalnych kryzysów to właśnie silny, podmiotowy samorząd jest gwarantem stabilności życia Polaków. Debata w Mikołajkach pokaże, w jakim kierunku pójdzie polska samorządność w najbliższych latach.

Szczegółowe informacje oraz rejestracja dostępne są na stronie: www.forum-ekonomiczne.pl.

eprasa.pl b71987bd04

PORTRET NIEOCZYWISTY

Paweł Moskalewicz miał przejść do historii jako dyrektor TVP Info, który **przywróci stacji uczciwość** i wysokie standardy. Zapisał się jednak jako ten, za którego kadencji antena straciła trzy czwarte widowni.

Ludwik Pęzioł

Fot. YouTube

Czysta woda, pusta publika

Gdy wracamy pamięcią do momentu przejęcia Telewizji Polskiej przez ekipę Donalda Tuska, trudno oddzielić fakty od towarzyszącej im atmosfery. Demonstracyjna bezczelność, prymitywny pokaz siły i triumfalizmu, a także działania jawnie przekraczające granice prawa usilnie próbowano opakować w retorykę „wielkiego oczyszczenia" życia publicznego. Faktu, że się to nie udało, nie trzeba zbyt długo dowodzić – wystarczy spojrzeć na liczby. W kolejnych miesiącach stacja straciła około

eprasa.pl b71987bd04

75 procent dotychczasowej widowni, a mimo późniejszych nakładów i prób korekty kursu nie udało się tej straty realnie odrobić. Skala załamania oglądalności przejdzie więc do historii polskich mediów jako przykład najbardziej spektakularnego upadku marki telewizji informacyjnej.

A przecież możliwy był inny scenariusz. Nawet jeśli początek „nowego rozdania" był chaotyczny i komunikacyjnie nieudolny, TVP Info mogła obronić się ofertą programową i rzeczywistą realizacją obietnicy „czystej wody". Historia rynku telewizyjnego pokazuje przecież, że widownia potrafi wybaczyć gwałtowne zmiany, o ile w zamian otrzymuje wiarygodny i atrakcyjny produkt. Tak się jednak nie stało. Pozostaje tylko pytanie – kto właściwie za to odpowiada i czyje nazwisko powinno stać się synonimem największej medialnej porażki w dziejach polskiej telewizji?

Dobry początek

Paweł Moskalewicz pochodzi z rodziny o tradycjach dziennikarsko-artystycznych, co niewątpliwie wpłynęło na jego życiowe wybory. Już jako dwudziestolatek został współautorem filmu dokumentalnego „Buszujący w Bogu", który stanowił istotny głos w dyskusji o sektach religijnych dynamicznie zapełniających polski pejzaż społeczny lat dziewięćdziesiątych. Dokument opowiadał o międzynarodowej grupie Rodzina Miłości, werbującej młodych ludzi obietnicami czystego, radosnego i wspólnotowego życia „pierwszych chrześcijan".

Jak na tak młody wiek, była to realizacja odważna i warsztatowo dojrzała. Moskalewicz dotarł zarówno do rodzin zwerbowanych członków sekty, jak i do nich samych. Zestawił sielankowy, a zarazem złowieszczy obraz nieświadomych własnego zindoktrynowania, uśmiechniętych młodych ludzi z dramatem rodzin, które doświadczały psychologicznego odcięcia od swoich bliskich. Mroczny ton materiału pogłębiały doniesienia z zagranicy o nadużyciach seksualnych w strukturach sekty oraz dwuznaczne treści obecne w jej materiałach promocyjnych. Nic dziwnego, że film został wyemitowany przez Telewizję Polską i zapowiadał obiecującą karierę: zarówno w filmie dokumentalnym (tej ścieżki jednak Moskalewicz nie kontynuował), jak i w dziennikarstwie.

Sukces debiutu skierował go ku pracy redakcyjnej. Choć studiował prawo, które mogło otworzyć przed nim stabilną i dochodową drogę zawodową w wieku 22 lat, nie zniechęcając się początkowo niskimi zarobkami, wybrał dziennikarstwo i rozpoczął współpracę z „Gazetą Wyborczą". Wybór redakcji nie był przypadkowy: zarówno z uwagi na profil ideowy pisma, jak i na jego ambicję uczestniczenia w sporach światopoglądowych, które definiowały III RP.

Marzenia o rewolucji

Szybko stało się jasne, że temat pierwszego filmu, jak i środowisko redakcyjne, w którym się odnalazł, odzwierciedlały jego głębsze przekonania. Moskalewicz nie ograniczał swojej krytyki do patologicznych form religijności, którą napiętnował w swoim filmie. Z czasem jego wypowiedzi przybrały wyraźnie antyklerykalny, a momentami antykatolicki ton. Publicznie zarzucał rządom SLD, że nie wykorzystały swojej historycznej szansy, by trwale osłabić pozycję Kościoła w Polsce. Odwoływał się nawet do modelu hiszpańskiej laicyzacji z czasów Zapatero jako niewykorzystanego wzorca „świeckiej rewolucji".

SKALA ZAŁAMANIA OGLĄDALNOŚCI TVP INFO PRZEJDZIE DO HISTORII POLSKICH MEDIÓW.

Ambicję wpływu na kierunek przemian światopoglądowych widać było również w jego pracy redakcyjnej. Tuż przed odejściem w 2016 roku z TVP Info objął funkcję redaktora naczelnego dwutygodnika „Forum". Było to pismo z długą tradycją, założone jeszcze w 1965 roku jako przegląd prasy światowej, i przez dekady umożliwiało polskim czytelnikom dostęp do tłumaczeń najważniejszych tekstów z czołowych tytułów prasy zagranicznej. W czasach PRL, a później w III RP, stanowiło przysłowiowe „okno na świat" i pełniło funkcję platformy intelektualnej wymiany myśli z całego świata. Jego siłą była właśnie formuła: możliwie szeroki przegląd opinii i analiz z różnych krajów, bez ambicji budowania jednej, dominującej linii ideowej.

Po przejęciu tytułu przez „Politykę" w 2001 roku charakter pisma zaczął się jednak stopniowo zmieniać. O ile sama formuła przeglądu prasy została zachowana, o tyle dobór tekstów coraz wyraźniej podporządkowywano kryterium agresywnej „postępowości". Zwłaszcza pod redakcją Pawła Moskalewicza profil przesuwał się w stronę jednoznacznie liberalno-progresywnej selekcji tematów. Na łamach „Forum" regularnie pojawiały się teksty chwalące sekularyzację, ostrzegające przed „powrotem faszyzmu", autorytaryzmem, nacjonalizmem czy antysemityzmem – a więc swoiste „liberalne bingo". Okładki niejednokrotnie sięgały po motywy szydzące z Kościoła i jego hierarchów. Gdy medium zaczęło tracić reputację możliwie szerokiego

eprasa.pl b71987bd04

i pluralistycznego, utraciło zarazem swoją niszę rynkową, co prowadziło do powolnego upadku pisma, który dopełnił się w 2023 roku. W biografii Pawła Moskalewicza powtarza się więc pewien motyw: projekty nacechowane ideową furią, które zderzają się z ograniczeniami rzeczywistości – rynkowej lub społecznej.

Właściwy człowiek

Trudno uznać nominację Pawła Moskalewicza na dyrektora przejętej TVP Info za przypadek. Z punktu widzenia nowej władzy był kandydatem niemal modelowym. Przez lata konsekwentnie walczył z polskim „faszyzmem" i głośno opowiadał się po stronie laickiego modelu państwa, więc idealnie nadawał się do roli człowieka, który miał rozpocząć w mediach publicznych epokę nowego „oświecenia" i rozprawić się z tym, co postrzegano jako reakcyjne dziedzictwo poprzedników. Również jego CV robiło solidne wrażenie. Oprócz pracy w prasie drukowanej i dokumentalistyce miał doświadczenie w telewizji informacyjnej. Współtworzył TVN24 niemal od początku istnienia stacji, a i w TVP Info przepracował kilka lat. Na papierze wyglądało to nieźle.

To jednak właśnie w momencie poprzedniego pobytu Moskalewicza w TVP Info pojawiały się pierwsze znaki zapytania dotyczące jego profesjonalizmu. W 2010 roku trafił do TVP Info jako zastępca szefa serwisu informacyjnego, a następnie powierzono mu rolę kierowniczą. Już rok później ówczesny dyrektor stacji, Jan Szul, zwolnił go, wskazując na nieobowiązkowość i liczne wpadki. Oficjalne uzasadnienie brzmiało poważnie, ale nie towarzyszyły mu publicznie przedstawione, konkretne przykłady. Biorąc pod uwagę doświadczenie Moskalewicza i jego dotychczasowy dorobek, zaczęto podejrzewać, że przyczyny mogły mieć również charakter polityczny. W tle była kampania wyborcza i napięcia wokół sposobu jej relacjonowania. Pojawiła się interpretacja, według której z TVP mieli wówczas „polecieć" dziennikarze zbyt krytyczni wobec PSL, by po kilku latach zostać przyjęci z powrotem. W tej optyce Moskalewicz był nie tyle nieprofesjonalny, ile „zbyt mało dyspozycyjny", co akurat świadczy na korzyść jego ówczesnej rzetelności. Potwierdza to również fakt, że w tym okresie nie miał większych problemów ze znalezieniem zatrudnienia. Pracował w rozpoznawalnych, opiniotwórczych tytułach i był postrzegany jako solidny i atrakcyjny współpracownik.

Równocześnie jednak uważnie obserwował kierunek, w którym podąża porzucona przez niego stacja, co widać w regularnym publicznym punktowaniu jej błędów. W przejawianym często „czepiactwie" dotyczącym standardów dawało się wyczuć osobisty ton, bo prócz pojedynczych uzasadnionych krytyk wiele było nadmiernych i zdradzających urazę.

„Ideolo" szkodzi

Odtworzenie pasma nieszczęść, którym okazało się szefowanie Moskalewicza TVP Info, wymagałoby osobnego, rozbudowanego kalendarium. Od nijakiego i miałkiego startu, po decyzje personalne i programowe, które z czasem zaczęły ciążyć całej antenie. Symboliczne stało się choćby powierzenie Dorocie Wysockiej-Schnepf nowych formatów, a zwłaszcza roli prowadzącej debatę prezydencką – decyzja, która ośmieszyła medium daleko poza środowiskiem zwolenników PiS. Do tego dochodziły projekty o ambicjach pseudoawangardowych, jak „Kwiatki Polskie" czy „falliczna" scenografia programu „Trójkąt Polityczny" – szybko zamieniające się w internetowe memy. Wizerunkowo nie pomogły także oskarżenia o nepotyzm – zatrudnienie (podobno byłej) partnerki w charakterze sekretarki i ukradkowe „podrzucanie jej do pracy".

Co istotne, te decyzje nie sprawiały wrażenia zwykłej menedżerskiej nieporadności. Bardziej przypominały powtórkę z pisma „Forum": ideologiczne zacietrzewienie i latami pielęgnowana uraza zdawały się przesłaniać elementarne zasady telewizyjnego rzemiosła, które Moskalewicz przecież posiadał. W efekcie postępowała w nim swoista wtórna analfabetyzacja dziennikarska. Paradoks polegał na tym, że w tamtym momencie wystarczyłaby telewizja poprawna, przewidywalna, nawet nudna – ale wolna od nachalnego „ideolo", by przez wielu mogła zostać odebrana jako jakościowy postęp wobec poprzedników. Tymczasem Moskalewicz w kluczowych chwilach wybierał rozwiązania konfrontacyjne, obciążone osobistym rewanżyzmem i polityczną demonstracyjnością. O porażce zadecydował więc czynnik psychologiczny i przekonanie, że cel uświęca środki.

> IDEOLOGICZNE ZACIETRZEWIENIE DOPROWADZIŁO MOSKALEWICZA DO WTÓRNEJ ANALFABETYZACJI DZIENNIKARSKIEJ.

eprasa.pl b71987bd04

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Mijają właśnie cztery lata od wybuchu wojny na Ukrainie. Pamiętam, że to zdjęcie, które publikujemy dziś, chciał Pan dać już w ubiegłym roku.

Tomek: – Wybraliśmy inne, łagodniejsze.

– Dziś wracamy do tego samego wydarzenia, manifestacji przed Ambasadą Rosyjską, która odbyła się pod koniec lutego 2022 roku, tuż po wybuchu wojny.

– Zdjęcie, na którym mężczyzna pali rosyjską flagę, chyba najbardziej oddaje nastroje, które wówczas dominowały i są obecne u Ukraińców do dziś.

– Wchodzą w piąty rok wojny, ostatnio dramatem był brak prądu w wielu miejscach, który w połączeniu z niskimi temperaturami tworzy bardzo trudne warunki nie tylko do walki, ale w ogóle do życia.

– Mimo to Ukraińcy się nie poddają, walczą i ważne jest, by nadal ich wspierać w tej walce.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl b71987bd04

Test ogniowy prezydenta

Przed taką próbą Karol Nawrocki jeszcze nie stanął. Decyzja o podpisie lub zawetowaniu ustawy wprowadzającej w Polsce program SAFE będzie miała **decydujące znaczenie** dla jego prezydentury. Zgoda oznacza utratę zaufania prawicy, sprzeciw – wściekły atak mediów z Polski i znacznej części Europy.

Mariusz Staniszewski

Donald Tusk zadbał, by spór o to, czy opłaca nam się skorzystać z oferowanej przez Unię Europejską pożyczki wartości 188 miliardów złotych na modernizację polskiej armii, nie toczył się na poziomie merytorycznym, ale skrajnie emocjonalnym. Nie było właściwie dyskusji na ten temat. Premier od razu zaczął od polaryzacji: kto „za" – jest patriotą, kto „przeciw" – zdrajcą i najgorszym wrogiem Polski.

Po takim wstępie nie da się już dojść do konsensusu. Ale, nie oszukujmy się, wcale o niego nie chodziło. Dla Tuska polityka ma wyłącznie wymiar siły – są tylko pokonani i zwycięzcy. Ci, którzy triumfują i kapitulują. Ustawa o SAFE może więc mieć kształt zaproponowany przez rząd i tyle. PiS i prezydent Nawrocki mają tylko dwa wyjścia: przyjąć bez gadania warunki Tuska albo je odrzucić i narazić się na frontalny atak.

Lider Koalicji Obywatelskiej doskonale zdaje sobie sprawę, że armia, patriotyzm, bezpieczeństwo, uzbrojenie i przemysł obronny to tematy wyjątkowo wrażliwe dla prawicy. Będzie zatem eksploatował ten temat, jak tylko się da, by uderzyć w najczulsze miejsca politycznych przeciwni-

Prezentacja bezzałogowych systemów uzbrojenia, Zielonka k. Warszawy, 18.02.2026 r.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl b71987bd04

ków. By przypisać im zdradę interesów Polski, zdradę żołnierzy i zdradę mieszkańców miast – najczęściej niewielkich – w których ulokowane są fabryki broni.

Prawdziwe cele SAFE

PiS i prezydent nie przygotowali się na to zderzenie i teraz znaleźli się w defensywie. Nie mają w zanadrzu tak prostego przekazu, jak tuskowa propaganda. Trudniej przecież wyjaśnić, że program SAFE w rzeczywistości nie ma wymiaru gospodarczo-obronno-modernizacyjnego, ale polityczny.

Jego celem jest umocnienie władzy Brukseli nad państwami członkowskimi, ale szczególnie Polską, gdyż my właśnie mamy wziąć największy kredyt. To Komisja Europejska będzie ostatecznie zatwierdzać, do kogo i na co trafią pieniądze, ona także będzie akceptować ewentualne zakupy poza Unią Europejską. W każdej chwili, uruchamiając mechanizm warunkowości, może także pod byle pretekstem wstrzymać pieniądze.

Istotne jest też uratowanie zapóźnionego i przeżywającego poważne turbulencje niemieckiego przemysłu. Od 1 maja 2026 roku każdy projekt finansowany z pieniędzy z SAFE musi mieć dwóch kooperantów. Biorąc pod uwagę, że plany zatwierdza KE, jest mało prawdopodobne, by Bruksela godziła się na czysto polskie przedsięwzięcia. Zamysłem jest raczej ściślejsze powiązanie przemysłów zbrojeniowych różnych krajów UE, a więc polskie firmy w rzeczywistości będą skazane na szukanie partnerów w Niemczech czy Francji. Ale to i tak wariant optymistyczny. W rzeczywistości bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz: działająca na terenie Rzeczpospolitej spółka ze stuprocentowym niemieckim kapitałem otrzymuje dotacje na produkcję broni lub amunicji we współpracy z głównym zakładem w Niemczech. Taki układ spełnia wszystkie wymogi programu SAFE. Polska może być więc tylko miejscem absorbcji pieniędzy.

W regulacjach zaszyta jest jeszcze jedna pułapka. Opis standardów wdrażania SAFE zakłada powołanie specjalnej grupy, „która będzie miała zasięg we wszystkich odpowiednich ministerstwach i agencjach krajowych, aby zapewnić, że wszystkie istotne informacje dotyczące SAFE trafiają do wszystkich krajowych podmiotów w sposób najszybszy. Ważne jest również, aby dwukierunkowe struktury komunikacji między Komisją a przedstawicielami specjalnych grup były efektywne”.

Ten niewinny z pozoru fragment oznacza, że członkowie grupy mają się kontaktować bezpośrednio z Komisją Europejską, z pominięciem rządów narodowych. Unijna biurokracja zyskuje więc dodatkowe narzędzie do kontroli państw członkowskich, wpływania na decyzje krajowych administracji oraz dostęp do informacji o szczegółach wszystkich projektów.

Komisja Europejska doskonale wie, jak skuteczny jest to mechanizm. W ten sposób podporządkowała sobie część urzędników w kluczowych ministerstwach Grecji podczas kryzysu finansowego. Dzięki temu kolejne rządy w Atenach były zupełnie bezbronne w starciu z niemieckimi politykami, którzy decydowali o przyszłości zadłużonego kraju.

> NIKT DZISIAJ NIE WIE, JAKIE BĘDZIE REALNE OPROCENTOWANIE KREDYTU, GDYŻ BĘDZIE ONO ZALEŻNE OD WARTOŚCI UNIJNYCH OBLIGACJI.

Niezgodne z niemieckim prawem

W kwietniu zeszłego roku portal Politico.eu opublikował zaskakującą informację, zgodnie z którą prawnicy niemieckiego parlamentu uznali program za niezgodny z unijnymi traktatami. „W kontekście ustanowienia SAFE pojawiają się również pytania dotyczące zgodności tego instrumentu z zakazem prawa Unii dotyczącym wykorzystywania funduszy UE na działania operacyjne mające charakter wojskowy lub obronny” – stwierdzono w analizie, powołując się na art. 41 ust. 2 Traktatu o Unii Europejskiej.

W ujawnionym wówczas raporcie niemieckich prawników stwierdzono, że program SAFE ma być realizowany na podstawie artykułu 122 traktatów UE, a ten stosuje się w przypadku kryzysów gospodarczych. Wątpliwości są jednak głębsze i eksperci Bundestagu napisali, iż „nawet finansowanie towarów i usług związanych z obronnością” może zostać objęte zakazem traktatowym – zwłaszcza gdy „jest przeznaczone dla Ukrainy, a nie dla państw członkowskich UE”.

Tymczasem w założeniach programu Ukraina występuje niemal na równych prawach jak państwa UE. Całkiem możliwy jest więc scenariusz, zgodnie z którym Polska zaciąga kredyt, za który w ulokowanej w naszym kraju niemieckiej fabryce (w kooperacji z innym zakładem już na terenie Republiki Federalnej) produkowane będzie uzbrojenie lub amunicja dla Ukrainy. Po naszej stronie mogą więc pojawiać się tylko koszty.

eprasa.pl b71987bd04

A że nie jest to tylko czarnowidztwo, wskazują warunki przystąpienia do SAFE. Zgodnie z nimi projekt zostanie zamknięty do 2030 roku. Firmy mają więc zaledwie cztery lata na wykorzystanie dotacji. Biorąc pod uwagę konieczność produkcji bardzo zaawansowanej technicznie broni – a takie projekty są najistotniejsze – okres niecałych czterech lat nie jest wcale długi.

Znacznie łatwiej wykorzystać te pieniądze na uruchomione już projekty, które można szybko rozliczyć. To dziś najbardziej prawdopodobny model działania.

Niepewne finansowanie

Atrakcją tego programu ma być dziesięcioletnia karencja na spłatę zadłużenia. Nie oznacza to jednak, że dług zniknie. Jego spłata będzie jedynie odroczona, ale to i tak zmniejszy możliwości zaciągania pożyczek przez państwo.

Dodatkowo nikt dzisiaj nie wie, jakie będzie realne oprocentowanie kredytu, gdyż będzie ono zależne od wartości unijnych obligacji. Ich kurs może się wahać, tak zresztą jak kurs euro. Te warunki znacznie podnoszą ryzyko tej pożyczki, gdyż nie jesteśmy w stanie powiedzieć, w jakim stanie za dziesięć lat będzie unijny budżet i gospodarka państw członkowskich. W każdym razie dziś polski rząd pożycza taniej, niż brzmi oferta KE.

Na ten temat jednak także nie toczy się dyskusja z rządem, ponieważ czołowi politycy koalicji zajmują się obrzucaniem błotem wszystkich, którzy choć w skrytości ducha pomyślą, że coś tu jest nie w porządku.

Zwłaszcza że w całym tym programie z centralnego punktu, wokół którego powinna toczyć się debata, znika bezpieczeństwo narodowe. W przypadku zaistnienia realnej groźby konfliktu Polska musi mieć możliwość szybkiego kupowania skutecznej, nowoczesnej broni, której Niemcy dziś zbyt wiele nie produkują. W przypadku zagrożenia nie powinniśmy się oglądać, czy czołg, samolot lub pocisk w 65 proc. został wyprodukowany przez europejskie firmy. Uzbrojenie ma być dobre, skuteczne i śmiercionośne. Parytety nie mają znaczenia na polu walki.

Trudna decyzja

Choć bardzo wiele przemawia przeciwko programowi SAFE, to jednak decyzja Karola Nawrockiego wcale nie będzie łatwa. Prezydent nie posiada narzędzi do kreowania polityki gospodarczej, a więc jeśli zawetuje ustawę, nie będzie w stanie realnie zaproponować niczego w zamian. Zresztą nawet jeśli zgłosi swój alternatywny projekt, to i tak zostanie on schowany na dno szuflady marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego i wyśmiany przez sprzyjające rządowi media.

Paradoksalnie koło ratunkowe prezydentowi rzucili sami Niemcy. Nadaktywność ambasadora RFN Miguela Bergera, butne wypowiedzi kanclerza Friedricha Merza o przywódczej roli Niemiec w Europie oraz wyjątkowa w ostatnich miesiącach aktywność tamtejszych firm zbrojeniowych w Polsce spowodowały, że mnożą się wątpliwości co do realnych intencji uruchomienia tego programu.

Dodatkowo rzuca się w oczy nerwowość w szeregach ekipy Tuska. Zwłaszcza gdy ujawniono, że na czele jednej z firm, która ma otrzymać ogromną dotację, stoi niedawny poseł PO Paweł Poncyliusz.

Zatajanie wszystkich szczegółów programu wzmaga wrażenie, że władza ma coś do ukrycia. Rodzi się skojarzenie z rozdawaniem pieniędzy z KPO, gdy znaczna część środków trafiła do ludzi związanych z Koalicją Obywatelską.

Prezydentowi Nawrockiemu trudno będzie jasno zakomunikować powody weta – jeśli nastąpi – gdyż pułapki są zaszyte głęboko i trudno je wyjaśnić w kilku zdaniach. Łatwiej natomiast ogłosić go zdrajcą.

Paradoks polega jednak na tym, że sprzeciw wobec programu SAFE może doprowadzić do konsolidacji prawicy, która dość zgodnie krytykuje pomysły dalszej federalizacji Unii Europejskiej oraz pompowania polskimi pieniędzmi niemieckiego przemysłu.

Dlatego trudno by jej było zaakceptować podpis Karola Nawrockiego pod tą ustawą.

GRUBA RURA MICHALSKI

eprasa.pl b71987bd04

HISTORIA
TYGODNIK
SOLIDARNOŚĆ

Wydania Specjalne

„Tygodnika Solidarność. Historia”

w prenumeracie

Cena:
49,99 zł
za cały rok

Zamów prenumeratę na 2026 r.

obejmującą wszystkie 4 przyszłe Wydania Specjalne

Zamówienia można składać na:
marketing@tygodniksolidarnosc.com

eprasa.pl b71987bd04

SAFE pozoruje bezpieczeństwo i korzyści ekonomiczne

Zbigniew Krysiak

UE pod nadzorem Niemiec chce odbierać kolejne podatki z naszego budżetu, z drugiej zaś strony zaciąga kredyty, do których spłacania zmusza się takie kraje jak Polska, mimo że beneficjentem środków z tych kredytów jest w głównej mierze gospodarka Niemiec. Przykładem wyzysku i przemocy kapitałowej wobec wielu państw UE jest program SAFE, w którym Polska ma zaciągać kredyty w celu przymusowych zakupów uzbrojenia od Niemiec, zwiększając w ten sposób bogactwo i rozwój ich gospodarki kosztem degradacji ekonomicznej Polski i Polaków. W takiej sytuacji nie wolno nam stać biernie, bo zostaniemy pozbawieni kapitału, własności i suwerenności.

Kanclerz Niemiec na konferencji w Monachium 13 lutego 2026 r. wezwał Niemcy do przejęcia władzy w UE. Dąży także do transatlantyckiego partnerstwa opartego nie na wartościach, lecz interesach. Friedrich Merz wskazywał na konieczność dystansowania się od USA, twierdząc, że gospodarcza siła Europy musi przekształcić się w siłę militarną i polityczną unię. Niemcy już się nie kryją z dążeniem za wszelką cenę do budowy superpaństwa pod ich kierunkiem. Trzeba więc przypomnieć kanclerzowi Merzowi i Niemcom, że Robert Schuman jako Francuz pomagał Niemcom włączyć się do wspólnoty europejskiej mimo zniszczeń, gwałtów, grabieży oraz morderstw, których dokonali na innych narodach, a w szczególności na Polsce. Schuman przestrzegał już w 1962 r. tychże Niemców przed groźnymi skutkami budowania kolejnej „rzeszy" w postaci superpaństwa. W tym kontekście bardzo zdecydowanie przeciwstawiał się budowaniu superpaństwa, mówiąc o tym w następujący sposób: – Moja idea nie polega na tym, aby połączyć kraje w celu stworzenia superpaństwa. Nasze kraje europejskie są historyczną rzeczywistością. Z psychologicznego punktu widzenia byłoby to niemożliwe i nierozsądne, aby się ich pozbyć. Ich różnorodność jest dobrą rzeczą i nie ma sensu, aby je usuwać lub dokonywać zrównywania lub unifikacji.

Z kontekstu ostatnich wypowiedzi przedstawicieli Niemiec, w tym Ursuli von der Leyen, wynika, że Niemcy chcą „zmusić" UE do podejmowania działań w kierunku zawłaszczania, centralizowania i przerzucania dochodów państw członkowskich do kasy UE, tworząc struktury superpaństwa i odbierając suwerenność narodom we wszystkich dziedzinach. Działania takie będą tworzyły coraz większe niezadowolenie i opór ludzi, co doprowadzi do zniszczenia Wspólnoty Europejskiej, o czym także wspominał Schuman.

Rysunek 1. Skumulowana nominalna wartość odsetek jako koszt kredytu dla Polski

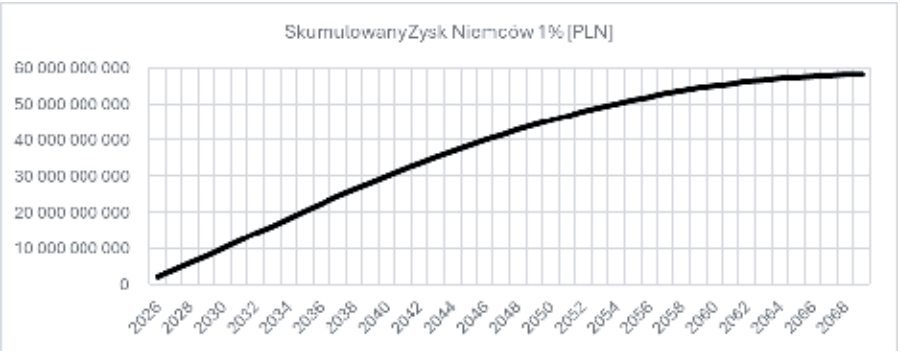

Źródło: Opracowanie własne.

eprasa.pl b71987bd04

Robert Schuman przestrzegał przed pozorowanymi działaniami i uwodzeniem przez tak zwanych „apostołów” Altiera Spinellego w następujący sposób: „Strzeżcie się tych, których czar prowadzi nas do bierności. Strzeżcie się tych, którzy chcą uśpić nas w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Strzeżcie się dostarczycieli pustych zapewnień obiecujących złudne środki do realizacji bezpieczeństwa. Oni starają się wprowadzać etapami i krok po kroku to, co zdrowy duch narodu odrzuca i się temu sprzeciwia. Ostateczny ich cel jest jasny. Oni starają się zgasić życie religijne w krajach i w ludziach. Z miłości do naszych dzieci chcemy zapobiec tym następstwom. Taka nasza postawa, którą przyjmujemy, nie powinna wynikać tylko z przeciwstawienia się, ale przede wszystkim dlatego, że nie możemy zdradzić duszy naszego narodu”.

Projekt SAFE jest adresatem ostrzeżenia, które kieruje Schuman, mówiąc, że chcą uśpić nas w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa i pozorowaniem korzyści ekonomicznych i dobrobytu po to, aby prowadzić do superpaństwa, które ma odebrać wolność, suwerenność, tradycję, kulturę i państwowość, niszcząc wartości chrześcijańskie i rodzinę. Kredyt SAFE, do którego jest zmuszana Polska pod presją Niemiec, mimo że sami takich kredytów nie biorą, będzie służyć modernizacji i rozwojowi niemieckiego przemysłu poprzez kupowanie u nich uzbrojenia przez Polskę. Oprócz tego niemieckie instytucje finansowe zarobią wysokie odsetki, gdyż oprocentowanie, jakie mogą uzyskać od kredytu udzielonego Polsce, jest wyższe o około 1 punkt procentowy od tego, który udzielają rządowi Niemiec.

Obliczenia skutków finansowych kredytu SAFE wskazują na bardzo wysokie koszty finansowe dla Polski i duże zyski dla Niemiec.

Rysunek 2. Skumulowany zysk niemieckich instytucji finansowych jako kredytodawców

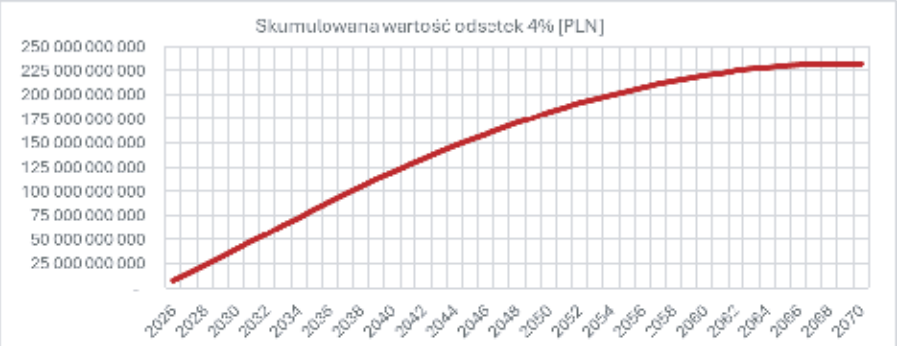

Źródło: Opracowanie własne.

Jeśli Polska zaciągnęłaby ten kredyt aż do 2070 r., to jego nominalna wartość początkowa wyniosłaby około 198 mld PLN. Skumulowana nominalna wartość samych odsetek w perspektywie 45 lat, jaką Polska by zapłaciła, wyniesie około 232 mld PLN. Na rysunku 1. przedstawiono rosnącą nominalną wartość kosztów odsetek od kredytu SAFE, gdyby Polska go zaciągnęła.

Nominalny kapitał, jaki Polska by spłaciła, wyniesie około 229 mld PLN, a więc nominalnie o około 31 mld PLN więcej niż nominalna wartość otrzymanego kredytu. Zyski finansowe Niemców mogą na tej transakcji osiągnąć poziom 58 mld PLN, w przypadku gdyby środki pozyskiwane przez UE pochodziły głównie z niemieckich instytucji finansowych. Prezentowane obliczenia uwzględniają ryzyko kursowe.

Na rysunku 2. zaprezentowano prawdopodobną skumulowaną nominalną wartość zysku niemieckich instytucji finansowych jako kredytodawców w okresie do 2070 r. Słuszne są opinie znanych w Polsce ekspertów zajmujących się rynkiem emisji obligacji rządowych, że Polska może zaciągać środki na zbrojenia przez emisję 5-letnich obligacji o oprocentowaniu około 2,96%, a więc o około 1,04 punktu procentowego mniej niż kredyt SAFE zaciągany na 4%.

Finansowanie z emisji polskich obligacji rządowych obniżyłoby nominalne koszty odsetek o około 58 mld PLN. Zatem kredyt SAFE nie jest tańszy o 36 mld PLN, jak wynika z wielu informacji medialnych. Przeciwnie – jest droższy aż o 58 mld PLN. Należy zatem apelować do wszystkich decydentów, w tym do pana prezydenta Karola Nawrockiego, aby nie podpisywał ustawy o kredycie SAFE, lecz skierował do Sejmu RP własny projekt ustawy o finansowaniu uzbrojenia nie z UE, ale z emisji obligacji polskiego rządu.

Artykuł pochodzi z „Magazynu Optyka Schumana”.

eprasa.pl b71987bd04

GRAWITACJA i Trump

Rewolta sześciu republikanów z Izby Reprezentantów, którzy wbrew linii partii i, przede wszystkim, żądaniom Donalda Trumpa zagłosowali za zablokowaniem wprowadzonych przez prezydenta ceł na handel z Kanadą, sama w sobie, potraktowana jako fotografia pewnego epizodu, może nie znaczyć wiele. Natomiast potraktowana jako kadr z filmu pokazującego dynamikę, ciąg wydarzeń, może w przyszłości być uznana za **punkt zwrotny**.

Piotr Skwieciński

Pozornie trudno zrozumieć, dlaczego wielu obserwatorów amerykańskiej polityki zareagowało na przegranie przez administrację jednego głosowania w niższej izbie parlamentu jako na coś ważnego. Przecież z dyscypliny partyjnej (formalnie w Ameryce zresztą nieistniejącej) wyłamało się tylko sześciu deputowanych, z czego dwóch zdecydowało już, że więcej nie będzie kandydować w wyborach. Mówiąc kolokwialnie, prezydent nie ma więc już na nich bata – ma go natomiast nad całą resztą, pragnących kontynuować karierę polityczną, republikanów.

Przyłączenie się tej szóstki do demokratów w sprawie kanadyjskich ceł stworzyło jednorazową większość pozwalającą na zablokowanie ustanowionej przez Trumpa daniny. Ale, po pierwsze, obserwatorzy tego, co dzieje się na Wzgórzu Kapitolińskim, liczyli, że wyłamać się może znacznie więcej reprezentantów. Rozmiary frondy są więc niewielkie. Merrill Matthews, pełniący funkcję szefa próbującej skupiać zwolenników nietrumpowskiego, staromodnego republikanizmu organizacji Our Republican Legacy w stanie Teksas, skomentował, że „wstydem nie jest to, że sześciu się wyłamało, ale że nie poszło z nimi więcej republikanów”.

Wprawdzie jeden z frondystów (Don Bacon) powiedział, że gdyby nie Trumpowe groźby odwetu

eprasa.pl b71987bd04

Fot. Kent Nishimura / Reuters / Forum

na nielojalnych, nawet „30 do 40” republikanów wyłamałoby się z partyjnej linii. Ale Trump groził i zapewne będzie grozić, i jak na razie nie widać przyczyny, by sądzić, że te groźby mogą utracić skuteczność. Lobbysta Sam Geduldig mówi, że o sile politycznej Trumpa świadczy fakt, że o ile w wypadku poprzednich republikańskich prezydentów (George Bush w 2006 roku) republikańscy kandydaci do Izby Reprezentantów w większości nie chcieli osobistego udziału prezydenta w ich kampanii, o tyle teraz wszyscy chcą Trumpa na swoich wyborczych wiecach, i już sama odmowa poparcia kandydata przez prezydenta może uniemożliwić parlamentarzyście reelekcję – a przecież w tym roku będą wybory połówkowe.

Po drugie zaś, prezydent Trump zapewne użyje teraz prawa weta. Natomiast skonstruowanie większości pozwalającej je przełamać wydaje się być zupełnie poza granicą możliwości antytrumpistów. Czy więc ekscytowanie się wyłamaniem się sześciu republikańskich parlamentarzystów ma jakikolwiek sens? Otóż ma.

YOLO Republicans

Szóstka, która się wyłamała (w Ameryce już określono ją metaforą „YOLO Republicans”; skrót YOLO w języku tamtejszego rocka oznacza „You Only Live Once”, czyli „żyje się tylko raz”, i jest używany w kontekście decyzji straceńczych, coś jak spopularyzowane u nas przez Henryka Sienkiewicza w „Ogniem i mieczem” ukraińskie „Raz maty rodyła!”) kierowała się różnymi intencjami.

Część to reprezentanci stanów przygranicznych, w których wiele biznesów wielu wyborców uzależnionych jest od handlu z Kanadą. Część podkreślała, że Kanada jest ważnym sąsiadem i sojusznikiem, o relacje z którym trzeba dbać, i w tym aspekcie krytykowała bardziej ogólnie postawę Trumpa wobec tego kraju, istotnie zdradzającą coś na kształt obsesji (np. ostatnio prezydent zablokował otwarcie zbudowanego już strategicznego mostu nad graniczną rzeką, domagając się, aby USA stały się właścicielem co najmniej jego połowy – mimo że za całość jego budowy zapłaciła Kanada, i na mocy obowiązującej między Waszyngtonem a Ottawą międzypaństwowej umowy w związku z tym faktem jednoznacznie należy on do Kanady w całości).

Inni podnosili kwestie bardziej fundamentalne. Odwoływali się do ideologicznego dziedzictwa wolnorynkowych republikanów, zawsze zasadniczo niechętnych cłom jako ograniczeniu wolnego handlu. Wreszcie podkreślali ustrojowy element swojej motywacji – chęć powstrzymania, dokonywanego przez Trumpa, okrajania władzy ustawodawczej na rzecz wykonawczej z konstytucyjnych kompetencji tej pierwszej (do której zawsze należały regulacje celne). Jak stwierdził jeden z nich, Jeff Hurd, Kongresowi zdarza się delegować, w dziedzinach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, elementy swojej władzy gałęzi wykonawczej, ale to delegowanie nigdy nie miało na celu permanentnego wyzbycia się swojej konstytucyjnej władzy. A, mówił Hurd, „jeśli dziś znormalizujemy przyznanie obecnemu prezydentowi władzy Kongresu w tej materii, powinniśmy oczekiwać że przyszły prezydent – niezależnie od tego, czy republikański czy demokratyczny – będzie ją wykorzystywał w sposób, któremu wielu z nas będzie zdecydowanie przeciwnych”.

Wszystko to są motywacje istotne, z całą pewnością szczere i z całą pewnością podzielane przez znacznie większą niż szóstka „YOLO Republicans” część polityków GOP. Waga tego, co się stało, przede wszystkim w kontekście przyszłości, leży jednak gdzie indziej.

Machina zaczyna buksować

Decyzja szóstki (sama w sobie, powtórzmy, obecnie nie przynosząca rewolucji) wpisuje się bowiem w cały rejestr zdarzeń, które wspólnie można określić mianem pierwszych przejawów buksowania machiny Trumpa. Niektóre z nich również

eprasa.pl b71987bd04

pokazują wątlenie dyscypliny, skutecznie wymuszanej dotąd na obozie republikańskim przez POTUS-a, większość dotyczy czegoś innego. Ale ich mnogość dowodzi, jak malowniczo określił to portal Axios, że „Trumpa zaczynają dotyczyć prawa grawitacji", spod których dotąd wydawał się być wyjęty.

Wymieńmy tylko kilka z tych zdarzeń. Wielu republikanów poczuło się zmuszonych, by dołączyć do potępienia, repostowanego przez konto społecznościowe Trumpa, widea pokazującego małżeństwo Michelle i Baracka Obamów jako małpy, odebranego powszechnie za rasistowskie. Podobne reakcje pojawiły się wśród republikanów w sprawie próby podjęcia kryminalnego śledztwa wobec szefa Rezerwy Federalnej Jerome'a Powella, z którym prezydent jest skonfliktowany na tle polityki stóp procentowych.

Po wielu incydentach unaoczniających nieprzygotowanie agentów powiększanej ostatnio alarmowo służby antyimigracyjnej ICE administracja poczuła się zmuszona do deeskalacji sytuacji w Minnesocie, konfliktu ewidentnie traktowanego dotąd jako prestiżowy. Trump wycofał się również z prób sfederalizowania (to znaczy przejęcia pod federalne dowództwo) sił Gwardii Narodowej w kilku stanach (Gwardia normalnie pozostaje pod zwierzchnictwem gubernatorów, jej federalizacja jest rzadka, zdarzała się dotąd jedynie w sytuacjach nadzwyczajnych, i to takich, w których Biały Dom nie mógł liczyć na lojalność władz stanowych).

A to wszystko nakłada się na procesy dekompozycyjne w samym jądrze trumpizmu, w jego bazie – czyli w ruchu MAGA. Konstytutywnym elementem tego ruchu była od zawsze wiara, że pozostaje on w zasadniczym konflikcie z amerykańskimi elitami, utożsamianymi przede wszystkim z rodziną Clintonów i, generalnie, lewicowym liberalizmem. Jednak sprawa akt Epsteina i długotrwała walka Trumpa z żądaniami ich publikacji może nie aż zdemolowała, ale porysowała ten obraz. „Ludzie całkowicie stracili wiarę i zaufanie do naszego rządu, i mają rację" – skomentowała Marjorie Taylor Greene, niegdyś gwiazda najradykalniejszego skrzydła MAGA, obecnie odchodząca z polityki rozczarowana dysydentka.

Oczywiście, w jakiejś mierze popełnia ona typowy błąd rozciągania własnych przemyśleń i emocji na innych ludzi; zwolennicy MAGA wciąż w ogromnej większości pozostają zwolennikami czy wręcz wyznawcami Trumpa. Ale do sprawy Epsteina dołącza się też brak sukcesu w zakresie poprawiania losu amerykańskiej klasy średniej, będącej ofiarą procesów globalizacyjnych i polityki poprzednich administracji, niesklonnych do poświęcania interesów arystokracji finansowej dla średniaków.

W efekcie tego wszystkiego, jak wykazał sondaż dla Fox News, po raz pierwszy sprzeciw wobec Donalda Trumpa stał się większy niż poparcie dla niego wśród grupy społecznej, która w 2024 roku w największej mierze przyczyniła się do jego zwycięstwa – wśród białych Amerykanów bez wyższego wykształcenia. Różnica w tej grupie jest obecnie bardzo niewielka (51:49), ale w porównaniu do stanu sprzed jeszcze tylko kilku miesięcy można uznać zmianę za głęboką (oczywiście pytanie, na ile trwałą?).

***

Wydaje się oczywiste, że jeśli niekorzystne obecnie dla prezydenta trendy sondażowe będą się pogłębiać, to coraz więcej republikanów spoza ruchu MAGA przestanie, jak to czynili i czynią dotychczas, giąć się przed trumpistowskim wiatrem historii jak trawa, wiedząc, że inne zachowanie oznaczać będzie ich wyrwanie z korzeniami. Z całą pewnością nie będzie to oznaczało cudownego powrotu Partii Republikańskiej w klasycznej wersji z czasów obu Bushów – na to społeczeństwo amerykańskie (nie tylko jego część po prawej stronie, również na radykalizującej się lewicy) zmieniło się już za bardzo. Z równą pewnością można też stwierdzić, że nonkonformistyczne głosowanie sześciu „YOLO Republicans" w sprawie ceł na handel z Kanadą nie oznacza klęski Trumpa.

Ale, by strawestować słowa Winstona Churchilla, wypowiedziane po bitwie pod El-Alamejn, zdarzenie to wydaje się być „jeśli nie początkiem końca, to na pewno końcem początku".

JEŚLI NIEKORZYSTNE TRENDY SONDAŻOWE BĘDĄ SIĘ POGŁĘBIAĆ, TO WIĘCEJ REPUBLIKANÓW PRZESTANIE GIĄĆ SIĘ PRZED TRUMPISTOWSKIM WIATREM HISTORII.

eprasa.pl b71987bd04

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Z innego świata...

Zdzisław Krasnodębski

Polska Rzeczpospolita Ludowa, prowincja sowiecko-rosyjskiego imperium, była brzydka, nudna, zniewolona, uboga. Od tzw. Zachodu dzieliła ją przepaść cywilizacyjna. Ale po latach ujawniają się nieoczekiwanie pewne jej przewagi nad współczesną Rzeczpospolitą Polską – bywały w niej lepsze szkoły i nauczyciele, lepszy był uniwersytet, głębsza literatura, ciekawsi ludzie. Nie było w niej tabunów rozwydrzonych celebrytów, codziennych wulgaryzmów, nihilizmu. Propaganda była co prawda równie toporna, ale ludzie byli mniej skłonni, by jej ulegać. Seanse nienawiści mediów komunistycznych i SB miały ograniczony zasięg – bagatela, w porównaniu z obecnymi falami hejtu w mediach społecznościowych. PRL niwelowała ludzi materialnie, III RP niweluje duchowo. Działo się to także dlatego, że więcej było w PRL pozostałości z II RP. Żyli jeszcze ludzie, którzy część swego życia spędzili w przedwojennej Polsce. Byli dla nas jakby przybyszami z innego świata.

Taką postacią był Henryk Krzeczkowski, którego poznałem na początku lat 80., parę lat przed jego śmiercią. A poznałem go jako katolickiego konserwatystę, redaktora „Tygodnika Powszechnego", przeciwnika komunizmu, tłumacza, znawcę polskiej i angielskiej literatury. Był także złośliwym oponentem „komandosów" i „lewicy laickiej", ludzi z przedwojennej „Gęsiej", jak mówił.

W miesiącach Solidarności jego postawa mogła wydawać się zbyt ostrożna, a nawet defetystyczna. Ale Krzeczkowski nie był ugodowcem, mimo że to on zainspirował Marcina Króla, by zajął się myślą polityczną stańczyków, nie był ich wyznawcą. Wyraźnie widać to w jego esejach, których jest niewiele, ale w których ujawniają się jego erudycja i wybitność. W 1974 roku pisał: „Najbardziej bodaj znamiennym dla postawy większości intelektualistów aspektem ich działania było systematyczne zacieranie granicy między ugodą i zaprzaństwem, uzasadniane przez nich bezprawnym powoływaniem się na świadomie lub z ignorancji zniekształcane postawy i działania elit umysłowych w erze rozbiorowej".

W sporze historyków o przyczyny upadku Rzeczypospolitej opowiadał się przeciw „pesymistom" i „realistom", a za tymi, którzy wierząc w Polskę, podjęli walkę. „Bogatsi o doświadczenia, których historia nam nie poskąpiła, skłonni jesteśmy uważać, że bliżsi prawdy byli optymiści, kiedy niezależnie od tego, co przyjęło się nazwać obiektywnym spojrzeniem na ówczesną sytuację polityczną, wprowadzali do ferowanego przez siebie wyroku jako element równoważny z «faktami obiektywnymi» również czynnik moralny. Nie byli ślepi na zło, które krzewiło się w Polsce, znali wady narodu i wywołaną przez nie

PRL NIWELOWAŁA LUDZI MATERIALNIE, III RP NIWELUJE DUCHOWO. DZIAŁO SIĘ TO TAKŻE DLATEGO, ŻE WIĘCEJ BYŁO W PRL POZOSTAŁOŚCI Z II RP. ŻYLI JESZCZE LUDZIE, KTÓRZY CZĘŚĆ SWEGO ŻYCIA SPĘDZILI W PRZEDWOJENNEJ POLSCE.

eprasa.pl b71987bd04

słabość państwa, orzekając jednak o winie, kierowali się pouczeniem Mickiewicza: «Odstąpienie jednej chociażby ziemi przez Polskę równało się zaprzeczeniu prawa, na którym ugruntowany był jej byt. Zapewne, nie można by wymagać od Polaków wysileń przekraczających ich możliwości; nie byli może w stanie ziem tych obronić. To rzecz inna. Ale nie wolno im było uznawać rozbioru za prawowity, bo tym samym naruszali prawo organiczne narodu». Nieuznawanie zaś rozbioru mogło oznaczać tylko postulat walki zbrojnej". Twierdził, że upatrywanie przyczyn upadku Polski w agresji zewnętrznej nie opiera się wcale na braku świadomości wad narodowych: „Niesłuszny wydaje mi się zarzut wysuwany przez pesymistów pod adresem swych adwersarzy, że zdejmowali z Polaków odpowiedzialność za katastrofę ich państwa. Stwierdzali tylko, że wina własna była jedynie pochodną określonej sytuacji geopolitycznej, która bynajmniej nie usprawiedliwiała bierności i uległości; że była wina, którą zmazać mógł tylko czyn kształcący charakter i uszlachetniający uczucia". Tym czynem była zbrojna walka, nawet beznadziejna, były powstania narodowe.

Dlatego tak cenił rolę pisarzy, którzy wbrew historykom „pokrzepiali serca". Pisał: „Jak huragan zmiotła Sienkiewiczowska «Trylogia» wszelkie nieprawe uroszczenia [żądania – przyp. red.] koncepcji ugodowych, nie przejmując się historycznymi argumentami ich apologetów. W niespełna dwadzieścia lat później «Popioły» stały sią natchnieniem młodzieży, która już niedługo, z desperacką pieśnią na ustach o «straceńców losie» miała zainicjować czyn zbrojny i która nie bacząc na gorzkie odczytanie napoleonowskiego mitu przez Żeromskiego, wołała: «leliśmy krew osamotnieni, a z nami był nasz drogi Wódz»".

Czwartą trylogią obok sienkiewiczowskiej i „Popiołów" była dla niego powieść Władysława Reymonta „Rok 1794" pokazująca powstanie kościuszkowskie jako jedyną właściwą reakcję na hańbę sejmu grodzieńskiego.

Krzeczkowski był sam ucieleśnieniem stylu polskiego, w wersji arystokratyczno-sarmackiej, ozdobionej erudycją z dodatkiem sznytu oficerskiego. Trzymał fason, jak się kiedyś mówiło. O tym, że wcieleniem takiego wzoru osobowego nie był zawsze, że był z jeszcze z innego świata, było wiadomo. Napomykał o tym w czasie rozmów. Jego przyjaciel Paweł Hertz (który kultywował habitus potomka zamożnego mieszczaństwa, polskiego „Tonio Krögera") tak wspominał pierwsze z nim spotkanie:

„Pewnego dnia, kiedy jeszcze mieszkałem w Łodzi, w kilka tygodni po ukazaniu się pierwszego wydania «Sedanu» – zbioru czterech opowiadań czy szkiców, które ogłaszałem przedtem w «Kuźnicy» i «Odrodzeniu», otrzymałem obszerny, bardzo zajmujący list, okazujący wiele zrozumienia dla realiów i imponderabiliów mojej książki. Wydało mi się, że ten, kto

KRZECZKOWSKI BYŁ SAM UCIELEŚNIENIEM STYLU POLSKIEGO, W WERSJI ARYSTOKRATYCZNO-SARMACKIEJ, OZDOBIONEJ ERUDYCJĄ Z DODATKIEM SZNYTU OFICERSKIEGO. TRZYMAŁ FASON, JAK SIĘ KIEDYŚ MÓWIŁO.

RELIGIA STAWIAJĄCA PONAD WSZELKIE PRAWA LUDZKIE NAKAZ MORALNY ZABRANIAJĄCY KRZYWDZENIA BLIŹNIEGO RATUJE W KOŃCU PRZED KAŻDYM ZABŁĄDZENIEM.

eprasa.pl b71987bd04

go napisał, w jakiejś mierze myśli podobnie i w tym, co się stało po wojnie, czuje się podobnie. Ale odpisałem zdawkowo, jak to mam w zwyczaju. Potem już w Warszawie którejś nocy byłem w «Paradisie», nieistniejącej już restauracji na Nowym Świecie, w pobliżu Placu Trzech Krzyży. Już wychodziłem, gdy od baru podszedł do mnie młody człowiek w mundurze majora, powiedział, że nazywa się Krzeczkowski, przypomniał mi swój list, podziękował za odpowiedź i spytał, czy moglibyśmy się umówić na dłuższą rozmowę. Spostrzegłem, że jest przy tym barze w towarzystwie jakichś oficerów amerykańskich". Zdumiona rozmówczyni pyta: „Wolno było wtedy siedzieć przy barze z amerykańskimi oficerami?".

„Wie Pani, to jak w tej starej anegdocie: jednym wolno, a innym nie wolno. Od razu zrozumiałem, że major nie jest oficerem liniowym, że to ktoś pewno z wywiadu lub kontrwywiadu. Potem okazało się, że Krzeczkowski służy w II Oddziale i jest podwładnym generała Komara. W mundurze oglądałem go chyba jeszcze raz czy dwa, bo w związku z czystką po-Gomułkowską jego stamtąd wyrzucono, a dowódcę mu zamknięto".

O tych czasach są tylko strzępy informacji. Sam Krzeczkowski sugerował, że jego przeszłość była jeszcze bardziej zawiła; ba, że jego rola w wywiadzie – podwójna. Mimo książki, którą napisał o nim Wojciech Karpiński, niewiele także wiemy o jego dzieciństwie, o życiu w Stanisławowie, gdzie urodził się w zamożnej żydowskiej rodzinie jako Herman Gerner, a także o losach wojennych.

KRZECZKOWSKI OPISYWAŁ PRL JAKO PRZYBUDÓWKĘ ROSJI SOWIECKIEJ, Z KTÓREJ POLACY CHCIELI SIĘ WYDOSTAĆ NA WOLNOŚĆ.

Wiemy, że potem wszedł w świat literacki. Był głęboko wierzącym, praktykującym katolikiem, mimo swego stylu życia. W roku 1954 pisze w swoim dzienniku: „Człowiek naprawdę wierzący zachowuje godność... Religia stawiająca ponad wszelkie prawa ludzkie nakaz moralny zabraniający krzywdzenia bliźniego ratuje w końcu przed każdym zabłądzeniem". Doceniał rolę Kościoła w życiu narodu, był zafascynowany postacią kardynała Stefana Wyszyńskiego: „Niedostrzeganie kościoła w naszym pejzażu jest czymś groźniejszym od anemii widzenia. Może dowodzić zamknięcia się w partykularzu, z którego nie widać nic".

Krzeczkowski opisywał PRL jako przybudówkę Rosji sowieckiej, z której Polacy chcieli się wydostać na wolność: „Sytuację wewnętrzną i międzynarodową państwa polskiego, które powstało po drugiej wojnie światowej, kształtują od pierwszych chwil jego istnienia: imperialna polityka Związku Sowieckiego, interes partii rządzącej oraz wola narodu, który nie zamierza zrezygnować ze swej podmiotowości historycznej". Wiedział, że naród polski odrzucał komunizm od samego początku i że „żydokomuna" nie była tylko antysemickim stereotypem: „Najciekawszy dziennik, jaki mógłby powstać po naszych czasach, to taki, który prowadzi ortodoksyjny komunista odkrywający zupełny bezsens naszej rzeczywistości. Nic nikomu nie zostaje oszczędzone. «Problem żydowski» w jedenastym roku Polski Ludowej, której jedynymi w stu procentach wiernymi adherentami byli żydowscy komuniści. Starzy komuniści odkrywający swoje karty i odkrywający historyczną dwuznaczność ich roli i postawy moralnej".

Już w latach 70. doszedł do wniosku, że porządek jałtański się kończy i że odzyskanie suwerenności się zbliża. Nie dożył tych czasów. Z żalem można także powiedzieć, że i w III RP nie sprawdziła się jego przepowiednia, że: „kamieniem węgielnym odrodzonej myśli politycznej polskiej będzie sprawa walki o niepodległość, o zdobycie suwerenności dla istniejącego państwa". Polska po 1989 roku raczej wyzbywała się atrybutów odzyskanej cudem niepodległości – niefrasobliwie oddawała się w obce ręce, gospodarczo i politycznie, gdyż miały to być ręce na wieki przyjazne, opiekuńcze. Zamiast myśli polskiej zapanowała bezmyślność europejska. Dopiero teraz przypominamy sobie tę „najważniejszą lekcję, jaką wynieśliśmy z drugiej wojny światowej", która była jego zdaniem „upewnieniem się w zasadności tego, co świat przywykł nazywać polską obsesją na punkcie Niemiec i Rosji".

eprasa.pl b71987bd04

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **24 LUTEGO** zdarzyło się:

1818 – w Pałacu Radziwiłłów w Warszawie (obecnie Pałac Prezydencki) odbył się pierwszy publiczny koncert 8-letniego Fryderyka Chopina;

2022 – rozpoczęła się inwazja Rosji na Ukrainę.

Hieronim Dekutowski (pośrodku) z żołnierzami swego oddziału

Fot. Wikimedia Commons

„Chciałbym pisać tak wielkimi literami, JAKICH NIE MA”

– Chłopcy, ja pójdę przodem, a wy za mną – mówił do swoich podkomendnych major **Hieronim Dekutowski** ps. „Zapora”.

Agnieszka Żurek

To właśnie poczucie odpowiedzialności za ludzi, niezłomność i gotowość raczej do oddania życia niż zdrady ojczyzny sprawiały, że o „Zaporze” jeszcze długie lata po jego śmierci jego żołnierze mówili ze łzami wzruszenia.

„Gdzie są dziś Żołnierze Wyklęci?”

Te same wartości sprawiły, iż Żołnierze Wyklęci stali się wzorcami dla wielu młodych ludzi, którzy – cytując rapera Tadka Polkowskiego – zaczęli pytać: „Czemu mnie o Tobie w szkole nie uczono?”. W jakim miejscu jesteśmy dziś, piętnaście lat od ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych?

– Jakże często słyszymy dziś: wreszcie Żołnierze Wyklęci powracają w należnej im chwale! Po 10 latach powinniśmy jednak zapytać: gdzie dziś są Żołnierze Wyklęci? Czy istotnie honorujemy ich, jak należy? Czy istotnie powrócili już do nas? Czy są w naszych sercach i umysłach? Czy Rzeczpospolita czyni wszystko, żeby ich uhonorować? Jeżeli tak jest, to dlaczego dziś z taką siłą z różnych stron, środowisk kulturalnych, naukowych i medialnych możemy usłyszeć tyle haniebnych słów skierowanych wobec naszych bohaterów? Jak to możliwe, że dziś słyszymy ze strony tych środowisk słowa, które doskonale znamy? Przecież to są cytaty z akt ubeckich, sądowych, prokuratorskich! – mówił podczas obchodów 1 marca 2021 roku prof. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej i szef Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

– Jeżeli Żołnierze Wyklęci powrócili, to dlaczego spotykamy się nie przy Panteonie Narodowym, tylko przy konstrukcji, gdzie ich zwłoki spoczywają na półkach, jakby czekały na właściwe uhonorowanie? Powtarzając to pytanie, gdzie są dzisiaj Żołnierze Wyklęci, trzeba powiedzieć: oni powracają, ale jeszcze nie powrócili. Trzeba im pomóc w tym powrocie! Pomóżmy im, odnajdując ich szczątki w dołach śmierci. Pomóżmy im oczyścić ich mundury. Z zastygłej krwi, z brudu ziemi pól bitewnych i z brudu piwnic Urzędu Bezpieczeństwa. Ale także pomóżmy oczyścić ich mundury z tego, czym są dziś opluwani! – apelował. – Ci, do których się dziś odwołujemy, są dla nas bohaterami. Przed laty w sposób doskonały wypełnili swój obowiązek wobec ojczyzny. My dzisiaj spełnimy ten obowiązek wobec nich – wskazywał prof. Szwagrzyk.

Dziś gorzkie słowa wiceszefa IPN-u możemy niestety jedynie powtórzyć. Wyklęci nadal spoczywają na Łączce w konstrukcji przypominającej raczej „ikeowe” szafki niż narodowy panteon, który nie tylko stanowiłby godne miejsce pochówku i pomnik z prawdziwego zdarzenia, ale także odzwierciedlałby wielkość sprawy, o którą walczyli żołnierze Drugiej Konspiracji. Aby tak się stało, konieczna byłaby odpowiednia determinacja rządzących, której z oczywistych względów brakuje teraz, ale której niestety najwyraźniej zabrakło także podczas ośmioletniego sprawowania władzy przez formację przyznającą się do wartości patriotycznych. Materialne upamiętnienia, choć są ważne, ponieważ ogniskują zbiorową wyobraźnię i stanowią istotne punkty odniesienia w przestrzeni publicznej, to nie wszystko. Fundamentalna jest filozofia życia, która przyświecała Żołnierzom Wyklętym, a która w dzisiejszym świecie często nie znajduje zrozumienia bądź nie jest traktowana z należytą powagą. Nie chodzi przecież o to, żeby stawiać pomniki polskim bohaterom, a chwilę później wracać do sposobu działania w rodzaju „business as usual”, traktując służbę publiczną jako okazję do zdobywania majątku i poszerzania wpływów. Do dziedzictwa Wyklętych – Niezłomnych trzeba ciągle dorastać i wciąż na nowo się w nim „przeglądać”.

„Co szlachetne i wielkie – przyjmuj, co płytkie i nikczemne – odrzucaj” – pisał do swojego syna z celi śmierci płk Łukasz Ciepliński. „Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą. Jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że Idea Chrystusowa zwycięży, Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać. Żegnaj, mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławię i Królowej Polski oddaję. Ojciec” – kończył swój gryps.

Siłą dziedzictwa Wyklętych jest nie tylko ich bezkompromisowa wierność przysiędze „na Orła

> ***Tak, był przeskok zbyt wielki w tym, co dla nas było ważne, a co za ważne uważają ludzie, czym się kłopoczą, cieszą i martwią.***
>
> **Rotmistrz WITOLD PILECKI**

eprasa.pl b71987bd04

i na Krzyż", lecz także spójność ich deklaracji z działaniami. Ich słowa dlatego mają siłę, że zostały poparte całym życiem i – często – także męczeństwem. Byli to ludzie czynu, nie gładkich słówek. Dlatego też zapewne zostali tak chętnie wzięci za wzory dla wielu młodych ludzi, kiedy dzięki działaniom najpierw Ligi Republikańskiej, a następnie Instytutu Pamięci Narodowej, ich życiorysy stały się w Polsce szerzej znane. Z kolei być może „boom" na Wyklętych nieco opadł, kiedy obchody ku ich czci zostały przeniesione na poziom państwowy, tracąc nieco swój oddolny i społeczny charakter. Z jednej strony podniosło to ich rangę i nadało należny rozmach (piękny był np. pogrzeb Zygmunta Szendzielarza ps. „Łupaszka", kiedy trumna odnalezionego na „Łączce" bohatera jechała na wojskowej lawecie zaprzężonej w konie, czy pogrzeb Danuty Siedzikówny ps. „Inka" i Feliksa Selmanowicza ps. „Zagończyk" z udziałem kilkudziesięciu tysięcy ludzi, z prezydentem Andrzejem Dudą na czele), z drugiej – nieuchronnie wiązało się z obecnością polityków – a nie jest to, mówiąc delikatnie, zawód cieszący się najwyższym zaufaniem społecznym.

„CO SZLACHETNE I WIELKIE – PRZYJMUJ, CO PŁYTKIE I NIKCZEMNE – ODRZUCAJ" – PISAŁ DO SWOJEGO SYNA Z CELI ŚMIERCI PŁK ŁUKASZ CIEPLIŃSKI.

„Aaa, dzieci się bawią!"

Chyba zresztą zawsze tak było. Wyklęci, choć było ich wielu, nie stanowili przecież ani całego społeczeństwa, ani tym bardziej jego klasy politycznej. Najszerzej znane dzisiaj są życiorysy tych najbardziej szlachetnych ludzi tamtych czasów, takich jak rotmistrz Witold Pilecki, gen. August Emil Fieldorf ps. „Nil", Danusia Siedzikówna ps. „Inka" i inni. A oni także w swoich czasach napotykali nieraz obojętność, niezrozumienie, ludzką małość czy cwaniactwo. To wielka sprawa, że mamy przykłady naszych rodaków, którzy „zachowali się, jak trzeba". Oni są nie tylko po to, żebyśmy mogli być dumni z naszej przeszłości, ale przede wszystkim – abyśmy wysoko ustawiali sobie poprzeczkę w zmaganiach naszej teraźniejszości mogącej przynieść lepszą przyszłość. Łatwo nie jest ani teraz, ani tym bardziej nie było kiedyś.

Jako antidotum na tezę o tym, że „kiedyś to były czasy, a dzisiaj nie ma czasów", można zacytować słowa „Raportu Witolda" sporządzonego przez rotmistrza Pileckiego po ucieczce z Auschwitz: „Czasami wydawało mi się, że chodząc po wielkim domu, otworzyłem nagle drzwi do jakiegoś pokoju, gdzie są same dzieci... «Aaa!... dzieci się bawią...». Tak, był przeskok zbyt wielki w tym, co dla nas było ważne, a co za ważne uważają ludzie, czym się kłopoczą, cieszą i martwią. Lecz to jeszcze nie wszystko... Zbyt widocznym stało się teraz powszechne jakieś krętactwo. Biła wyraźnie w oczy jakaś praca niszcząca nad zatarciem granicy pomiędzy prawdą a fałszem. Prawda stała się tak rozciągliwa, że naciągano ją, przysłaniając wszystko, co ukryć było wygodniej. Skrzętnie zatarto granicę pomiędzy uczciwością a zwykłym krętactwem. Nie to jest ważne, co napisałem dotychczas na tych kilkudziesięciu stronach, szczególnie dla tych, co będą je czytać li tylko jako sensację, lecz tutaj chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich nie ma, niestety, w maszynowym piśmie, żeby te wszystkie głowy, co pod pięknym przedziałkiem mają wewnątrz przysłowiową wodę i matkom chyba tylko mogą dziękować za dobrze sklepione czaszki, że owa woda im z głów nie wycieka – niech się trochę zastanowią głębiej nad własnym życiem, niech się rozejrzą po ludziach i zaczną walkę od siebie, ze zwykłym fałszem, zakłamaniem, interesem podrasowanym sprytnie pod idee, prawdę, a nawet wielką sprawę. Koniec".

POCZUCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA LUDZI, NIEZŁOMNOŚĆ I GOTOWOŚĆ RACZEJ DO ODDANIA ŻYCIA NIŻ ZDRADY OJCZYZNY SPRAWIAŁY, ŻE O „ZAPORZE" JESZCZE DŁUGIE LATA PO ŚMIERCI JEGO ŻOŁNIERZE MÓWILI ZE ŁZAMI WZRUSZENIA.

eprasa.pl b71987bd04

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Łże-ustawa na dzień Wyklętych

Pułkownik bezpieki Józef Goldberg-Różański ręczył jej „oficerskim słowem honoru", że żadna z ujawnionych osób nie zostanie aresztowana. Jeśli nie pójdzie na ugodę – argumentował dalej ubek – „będzie odpowiedzialna za mordownię".

Urodzona 26 lutego 1909 r. w Rostowie Emilia Malessa, „Marcysia" – kapitan AK oraz powojennego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – uwierzyła, wychowana w świecie wartości, w którym słowo honoru coś znaczyło. Jej obaj dziadowie walczyli w powstaniu styczniowym. Dwóch z trzech braci zginęło w wojnie polsko-bolszewickiej (trzeci – Julian walczył potem w II wojnie światowej).

Pułkownik NKWD Jurij Nikołaszkin skarcił Różańskiego: „Co to znaczy, że ty dałeś słowo honoru? Jeśli dałeś, to znaczy ono było twoje, a jak było twoje, to możesz je odebrać". Różański rozpoczął aresztowania WiN-owców. Osadzona w katowni bezpieki przy ul. Rakowieckiej 37 zrozpaczona „Marcysia" podjęła głodówkę. Jednak to nie ona wymyśliła ujawnienie polskich niepodległościowców. Działała na wyraźny rozkaz swojego dowódcy, płk. Jana Rzepeckiego – prezesa I zarządu WiN. Bo to Rzepecki, już po 24 godzinach od uwięzienia, ujawnił ludzi, archiwa, fundusze. Stefan Korboński (ostatni delegat Rządu na Kraj, podwładny Rzepeckiego) wspominał: „To pierwszy wypadek masowego ujawnienia podwładnych, dokonany przez przełożonego, bez ich wiedzy i zgody".

W procesie sztabu głównego WiN kpt. Malessa dostała dwa lata więzienia. Potem Bierut całkowicie ją ułaskawił. „Mogła być natychmiast zwolniona, [ale] nie chciała opuścić więzienia – wspominała współwięźniarka Ruta Czaplińska. – Wyszła wreszcie parę miesięcy potem i swoją walkę prowadziła już na wolności, wierząc, że będzie mogła więcej osiągnąć". Protestowała, pomagała aresztowanym i ich rodzinom.

Była „kobietą nie tylko wielkiej urody, ale i takiej samej inteligencji, jak i wpływów" – pisał o niej historyk Cezary Chlebowski. W Powstaniu Warszawskim została odznaczona Virtuti Militari. Po 1945 r. nadal kierowała komórką łączności zagranicznej polskiego podziemia. Ale w kwietniu 1949 r., kiedy podjęła kolejną głodówkę – przechodnie na ul. Rakowieckiej widzieli ją skuloną pod więziennym murem. Bezsilna, obarczona poczuciem winy, odrzucona przez część środowiska AK, które oskarżało ją o zdradę, 5 czerwca 1949 r. popełniła samobójstwo.

A Rzepecki? Po wyjściu na wolność służył w komunistycznym LWP, ZBoWiD-zie, w 1956 r. poparł Gomułkę, w końcu został historykiem i pisał książki…

Ta historia ma jednak swoją dzisiejszą – skandaliczną – kontynuację. Właśnie towarzysz marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty dopuścił do procedowania w Sejmie projektu ustawy przyznającej odszkodowania „ofiarom" Żołnierzy Wyklętych. Towarzyszka posłanka Anna Maria Żukowska, prezentując tę łże-ustawę, mówiła o wypłacie 50 tys. złotych „osobom, które doznały uszczerbku na zdrowiu oraz członkom rodzin ofiar, które zginęły". To naplucie w twarz kpt. Emilii Malessie i innym wyklętym przez komunistów Żołnierzom Niezłomnym. I to w przededniu Ich tragicznego święta – Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych"!

eprasa.pl b71987bd04

Lwowski Kürten

We wtorek, 27 lutego 1934 r., jedna z głównych lwowskich ulic – Batorego, wypełniła się policjantami, zarówno pieszymi, jak i konnymi patrolami. Było około godz. 9. Najwięcej gawiedzi zgromadziło się przy gmachu sądu okręgowego. Tam funkcjonariusze mieli najwięcej pracy. Wkrótce samochód więzienny wjechał w bramę gmachu sądowego i za nią zniknął. Ruszał proces, jakiego Lwów **dotąd nie widział**.

Sebastian Reńca

Wiosną 1931 r. całe Niemcy żyły sprawą procesu seryjnego mordercy Petera Kürtena. Sąd udowodnił mu dziewięć morderstw i skazał na karę śmierci, którą wykonano w lipcu tego samego roku. Trzy lata później na ulicach Lwowa zaczęto mówić, że i w tym polskim mieście morduje ktoś taki jak Kürten.

„Przez chwilę przesunęły się przed oczyma wizje zbrodniarzy [...]. Przypomniano sobie kilka innych podobnych wypadków, np. pamiętny fakt znalezienia zwłok kobiecych w walizce nadanej do Warszawy oraz zabójstwo żony i poćwiartowanie jej zwłok przez męża Tomasza Palucha pod Krakowem (głowy ofiary nie odnaleziono!). Niedawno dopiero we Wiedniu z Dunaju wyłowiono walizkę, w której znajdowały się poćwiartowane zwłoki zamordowanego mężczyzny. Zdarzały się takie wypadki... ale we Lwowie – wypadek taki jest pierwszym" – pisał dziennikarz jednej z ówczesnych bulwarówek.

Potem, gdy już złapano mordercę, dodawano, że jest on łudząco podobny do „upiora" vel „wampira z Düsseldorfu".

Hieronim Cybulski

Fot. YouTube

eprasa.pl b71987bd04

Makabryczne odkrycie

Dwadzieścia jeden dni wcześniej – w poniedziałek, 5 lutego, robotnicy pracujący przy budowie Domu Akademickiego przy ul. Poniatowskiego jak zawsze przyszli do pracy. Piasek potrzebny murarzom oraz tym, którzy posypywali olodzone chodniki, brano z głębokiego jaru ciągnącego się obok Parku Kilińskiego. Pierwszym, który tamtego dnia poszedł po piach, był stróż Jan Czyż, który – jak donosiła dzień później prasa – „ujrzał nagle w zaroślach nieforemny dość pakunek owinięty w papier. Gdy pan Czyż nachylił się, by podnieść pakunek, zauważył liczne plamy krwi na papierze. Ogarnięty złym przeczuciem dozorca rozwinął pakiet i ujrzał w papier owinięte poćwiartowane na drobne kawałki dolne części zwłok ludzkich...".

Przerażony Czyż rzucił łopatę oraz krwawy pakunek i pobiegł na teren pobliskich Targów Wschodnich, gdzie pracował. Stamtąd dozorca zatelefonował na komisariat. Policjanci, którzy pojawili się na miejscu, od razu odgrodzili taśmami teren, na którym dokonano makabrycznego odkrycia, i zaczęły się skrupulatne poszukiwania pod nadzorem prokuratora doktora Henryka Mostowskiego, któremu towarzyszył sędzia śledczy doktor Adam Kozłowski oraz policjanci z wydziału śledczego lwowskiej policji. W sumie znaleziono jedenaście fragmentów ludzkiego poćwiartowanego ciała w trzech różnych miejscach. Szczątki łącznie ważyły czternaście kilogramów. Brakowało nóg, rąk i... głowy. Trafiły one do Instytutu Medycyny Sądowej.

Dookoła miejsc, w których leżały poszczególne części ciała, nie natrafiono na żadne ślady krwi, co świadczyło o tym, że jego fragmenty przywieziono lub przyniesiono. Wtedy jeszcze nie wiedziano, czy należały do jednej, dwóch, czy więcej ofiar.

Kolejny dzień przyniósł nowe znaleziska. Pies zaprowadził policjantów do cegielni Nachta. Tam zebrano część stopy, ramienia i wnętrzności oraz pończochę, w której były kawałki ciała z pogruchotanej nogi. Wieczorem tego samego dnia dokonano kolejnego odkrycia w Parku Stryjeńskim. W tamtejszym koszu na śmieci leżał kawałek uda, a w odległym Parku Jordana znaleziono części rąk, ale dłonie były bez palców. W sumie zebrano trzydzieści pięć części ludzkiego ciała. Lekarze badający szczątki już w tym czasie ustalili, że ofiarą była kobieta w wieku około trzydziestu lat. Śledczy brali pod uwagę mord na tle seksualnym, po którym ofiara została poćwiartowana.

GDY JUŻ ZŁAPANO MORDERCĘ, DODAWANO, ŻE JEST ON ŁUDZĄCO PODOBNY DO „UPIORA" VEL „WAMPIRA Z DÜSSELDORFU".

Przełom w śledztwie nastąpił bardzo szybko. Brukarz Jan Kołodziej zamieszkały przy ulicy Jabłonowskiej ofiarował handlarzom starzyzny kupno płaszcza damskiego. Handlarze już wiedzieli z gazet o strasznym mordzie i przerazili się, ponieważ na płaszczu były ślady krwi, które ktoś niezdarnie usiłował zaprać, więc zawiadomili policję. Kołodziej powiedział na przesłuchaniu, że płaszcz dostał od jednego inwalidy.

W ten sposób policja miała nazwisko podejrzanego: Hieronim Cybulski, lat 44, właściciel kiosku przy ulicy Świętej Zofii, u wylotu Poniatowskiego, a więc ulicy prowadzącej do Parku Kilińskiego.

„W toku dochodzenia policja wpadła na ślad zbrodniarza, którym okazał się inwalida wojenny i posiadacz budki tytoniowej Cybulski" – donosił wileński dziennik „Słowo".

Na tropie mordercy

Wywiadowcy mieli więc co robić. Szybko ustalili, że Cybulski został inwalidą jeszcze w armii austriackiej. Ludzie mówili im, że pomimo inwalidztwa chłop walczył dzielnie z Ukraińcami i bolszewikami. Ten kiosk z gazetami, papierosami, mydłem i powidłem dostał na początku lat 20. w jednej z najruchliwszych części miasta w nagrodę za służbę Rzeczypospolitej. Potem temu, że walczył z Ukraińcami w obronie miasta, zaprzeczył oficjalnie Zarząd Związku Obrońców Lwowa.

KIOSK Z GAZETAMI, PAPIEROSAMI, MYDŁEM I POWIDŁEM CYBULSKI DOSTAŁ NA POCZĄTKU LAT 20. W NAGRODĘ ZA SŁUŻBĘ RZECZYPOSPOLITEJ.

Wieczorem jeden z wywiadowców akurat szedł obok kiosku, gdy Cybulski zamykał interes. Policjant od razu zwrócił uwagę na sporych rozmiarów pakunek ściskany pod pachą przez kioskarza.

eprasa.pl b71987bd04

– Się masz, Gieniu, co u ciebie? – zagadnął wywiadowca Cybulskiego.

– Dobrze, dziękuję. Idę właśnie do klienta i odnoszę mu papierosy.

Wywiadowca przyjął wyjaśnienie Cybulskiego do wiadomości i go nie śledził. Potem okazało się, że kioskarz miał w tym pakunku ludzkie mięso, które szedł wyrzucić do kosza na śmieci w parku oraz przy Targach Wschodnich.

Wywiadowca jednak wkrótce znów natknął się na Cybulskiego, który już nie miał paczki, ale nie pozbył się papieru pakowego poplamionego krwią, co nie uszło uwagi funkcjonariusza, który wezwał posiłki. W kiosku Cybulskiego przeprowadzono rewizję.

Pod krzesłem znaleziono skórzaną teczkę, a w niej... kobiecą głowę. Zmasakrowaną z nadpalonymi włosami. Palce denatki leżały w... słoiku z cukierkami, który stał na półce.

Ponadto w paczkach po papierosach było nieco trucizny. Później kioskarz zeznał, że dostał ją od Franciszka Obacza, woźnego pracującego na uniwersytecie Jana Kazimierza.

Woźny od razu przyznał, że dał Cybulskiemu słoik trucizny rzekomo potrzebnej mu do otrucia chorego psa.

Cybulski zachował zimną krew, gdy zobaczył policjantów mających go zatrzymać. Najpierw zapytał zdziwiony: „Panowie do mnie?...", a następnie dodał: „Ja przecież nic nie zrobiłem... To była prostytutka".

Początkowo Cybulski wyjaśniał, że pił z przypadkową prostytutką wódkę, że ona w pewnym momencie zażyła truciznę i zeszła z tego świata, a on bojąc się konsekwencji, poćwiartował trupa i roznosił go po mieście w kawałkach. W końcu jednak pękł i przyznał się, że to on otruł prostytutkę, którą spotkał na ulicy. Bronił się tym, że był pijany, po drugie, że jest syfilitykiem, po trzecie, że ma rany głowy doznane na wielkiej wojnie. Mówił, że nawet nie wie, jak się nazywa prostytutka, bo powiedziała mu tylko tyle, że pochodzi z Warszawy.

Policja jednak szybko ustaliła jej personalia, przepytując prostytutki z Placu Halickiego i Placu Bernardyńskiego, które zgodnie stwierdziły, że od kilku dni nie widziały koleżanki o wdzięcznym pseudonimie „Mila". Denatka nazywała się Emila Scheff, lat około 40, mieszkała na Zamarstynowie.

Trudniła się nie tylko prostytucją, ale też kradzieżami, i należała do szajki paserów, za co zresztą siedziała kilkanaście miesięcy.

W czasie śledztwa policja odtworzyła noc z soboty, 3 lutego, na niedzielę, 4 lutego, kiedy to Cybulski spotkał Milę na Placu Halickim. Razem przyszli do kiosku, zresztą nie była to pierwsza prostytutka, którą tam sprowadził. Mówił, że co noc sprowadzał je do kiosku. Tamtej nocy pił z Milą wódkę. Po otruciu kobiety poćwiartował zwłoki piłką do metalu, siekierą i nożem.

Gdy przywieziono Cybulskiego do jego kiosku na wizję lokalną, zebrał się tam tłum gapiów. „Ponieważ w czasie demonstrowania przez Cybulskiego jego ruchów, mających zobrazować sceny krytycznej nocy, napór tłumów wzrastał, wezwano oddział policji konnej, który z trudem zdołał opanować sytuację" – pisał reporter „Tajnego Detektywa" i dodawał, że podejrzany „ze stoickim spokojem oprowadzał prokuratora i sędziego śledczego, demonstrując, jak ćwiartował zwłoki swojej ofiary oraz którędy wynosił poszczególne części".

Jeden z fotoreporterów wszedł do kiosku Cybulskiego i zrobił zdjęcie z jego klaustrofobicznego wnętrza. Na suficie lampa naftowa, na ścianach półki, na podłodze piecyk węglowy, na którym został czajnik. Ogólny bałagan. Uwagę zwraca witryna kiosku, w której Cybulski powiesił egzemplarz „Expressu Wieczornego" z wielkim tytułem na pierwszej stronie: „Mord seksualny!".

W KIOSKU POD KRZESŁEM ZNALEZIONO SKÓRZANĄ TECZKĘ, A W NIEJ... KOBIECĄ GŁOWĘ. PALCE DENATKI LEŻAŁY W... SŁOIKU Z CUKIERKAMI, KTÓRY STAŁ NA PÓŁCE.

CYBULSKI MÓWIŁ, ŻE CO NOC SPROWADZAŁ DO KIOSKU PROSTYTUTKI. TAMTEJ NOCY PIŁ Z MILĄ WÓDKĘ.

Rusza proces

27 lutego „potwór Cybulski" – tak pisały o nim gazety – stanął przed sądem. Na sali wypełnionej publicznością nie zabrakło oczywiście reporterów. Jeden z nich pisał:

eprasa.pl b71987bd04

„W bramie sądu policja bada legitymacje i karty wstępu. Sala wypełniona po brzegi. Wydano 200 biletów. Któż zajął miejsce wśród publiczności? Pierwsze rzędy to panie, które demonstrują swe kostiumy «przedwiośnia». Istna rewia mód. Lusterka, puderniczki i ołówki do ust pokrywają zaambarasowanie. Jakaś młodziutka blondynka skrywa filuterny nosek w jakiejś powieści i unika natrętnego fotografa redakcyjnego. W dalszych rzędach starzy bywalcy rozpraw sądowych – no i połykacze sensacji". W końcu na salę zostaje wprowadzony przez policjantów Cybulski. „Rozgląda się, a po chwili siada na ławie. Postać szczupła, niższego wzrostu, zbiedzona, włosy ciemnoblond, oczy bez wyrazu" – charakteryzował go dziennikarz „Kuriera Powszechnego".

Prokurator Henryk Mostowski czyta akt oskarżenia:

– Oskarżam Hieronima Cybulskiego o to, że w nocy z 3 na 4 lutego 1934 roku zabił Emilię Scheff w ten sposób, że wsypał podstępnie do napoju, przez nią następnie spożytego, truciznę cyjanku potasu, wskutek czego nastąpiła śmierć Emilii Scheff – mówił. I dodawał: – Oskarżony, widząc koło siebie trupa, postanowił zwłoki pokrajać, wynieść i rozrzucić i w tym celu zabrał się od razu do krojenia...

Zanim Cybulski trafił na ławę oskarżonych, został przebadany przez psychiatrów, którzy orzekli, że morderca w czasie popełniania zbrodni nie był dotknięty chorobą umysłową. Że jest on alkoholikiem, co spowodowało, że „zdolność jego rozpoznania znaczenia czynu lub kierowania postępowaniem była tylko w chwili popełnienia przestępstwa w znacznym stopniu ograniczona" i może on odpowiadać za zbrodnię.

W dalszej części sąd utajnił rozprawę i odbywała się ona przy zamkniętych drzwiach aż do godz. 20.30. „Na sali pozostali jedynie najbliżsi krewni zbrodniarza. Cybulski broni się prawdopodobnie w ten sam sposób, jak w rozmowie z obrońcami, to jest, że Scheffówna otruła się sama, a on pragnął jedynie ukryć jej samobójstwo" – domniemywał reporter sądowy „Słowa".

Sąd za zamkniętymi drzwiami wysłuchał świadków, biegłych i rzeczoznawców.

PODEJRZANY „ZE STOICKIM SPOKOJEM OPROWADZAŁ PROKURATORA I SĘDZIEGO ŚLEDCZEGO, DEMONSTRUJĄC, JAK ĆWIARTOWAŁ ZWŁOKI SWOJEJ OFIARY".

Wyrok i więzienie

Na drugi dzień, gdy sąd pozwala przemówić Cybulskiemu, ten pada na kolana i płacząc, zaczyna mówić. Sędzia każe mu wstać. Cybulski prosi o litość...

Sąd zezwala publiczności na wysłuchanie wyroku, jest godz. 12.30 w południe. Za zamordowanie Emilii Scheff sąd doraźny skazał Hieronima Cybulskiego na karę dożywotniego więzienia. Publiczność spodziewała się kary śmierci dla oskarżonego, ale sąd uzasadniał taki wyrok tym, że psychiatrzy stwierdzili zmniejszoną poczytalność Cybulskiego, a ponadto oskarżony przyznał się do winy.

Dalsze losy Cybulskiego nie są znane, nie znalazłem informacji o tym, do którego więzienia trafił i gdzie odsiadywał wyrok pięć lat później, gdy wybuchła wojna. Wielce prawdopodobne, że przyniosła mu ona wolność, wszak już 2 września 1939 r. ogłoszono dekret amnestyjny prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Wówczas polskie więzienia opuściło co najmniej trzydzieści jeden tysięcy skazańców. S

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ | WASIUKIEWICZ

eprasa.pl b71987bd04

KULTURA

Czytaj też:
Pojedynek w sanatorium u Gorkiego 58
Koty dachowce 64

Nie można być DZIADERSKIM

Jan i Gabor Benedekowie w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem** opowiadają o swoim spojrzeniu na muzykę, czego mogą się nauczyć od siebie oraz jak będzie brzmieć ich nadchodząca płyta „Vintage".

Fot. Paweł Żarko

BNDK to duet ojca (Jan Benedek) i syna (Gabor Benedek). To niecodzienne połączenie osób, które różnią generacja i osobowości, ale łączą wspólna pasja i podobieństwa wynikające z więzów krwi. Dzięki temu utwory spod skrzydeł duetu znajdują wspólny mianownik, będąc jednocześnie połączeniem nowoczesnych brzmień z retro rockiem i popem.

– Kiedy nastąpił moment w Waszym życiu, że postanowiliście połączyć muzyczne siły?

Gabor Benedek: – W 2024 roku wyszedłem do mojego taty z taką propozycją. Pracował wtedy nad kilkoma utworami jeszcze samemu. Stwierdziłem, że chciałbym robić z nim coś wspólnie i pomyślałem o zespole. Na początku miałem grać wyłącznie na instrumencie, nie miałem śpiewać, natomiast odpowiadałem za teksty do utworów. Tak sie to rozwinęło, że zacząłem śpiewać. Zaczęliśmy wypuszczać kolejne single, co zostało zwieńczone wydaniem EP-ki. Obecnie pracujemy nad albumem.

– Niedawno opublikowaliście utwór z Sidneyem Polakiem „Jestem z Polski". Może trio?

Jan Benedek: – Sprawa wynikła bardzo spontanicznie i raczej nie przewiduję, żeby miała dalszy ciąg. Chociaż niczego nie da się wykluczyć. Postanowiliśmy spróbować coś zrobić i wykorzystać kawałek i tekst. Ten tekst Jarek proponował wcześniej, w naszym poprzednim zespole [T.Love, Janek grał na gitarze, Sidney na perkusji – przyp. red.]. Ja też proponowałem muzykę, także spontanicznie zdecydowaliśmy się na nagranie piosenki.

– W obecnych czasach dużym ryzykiem jest odejście z zespołu T.Love, który ma ugruntowaną markę w polskim przemyśle muzycznym. Skąd taka decyzja?

J.B.: – Dla mnie najciekawszą rzeczą w moim zawodzie jest to, że robię rzeczy nowe i przede wszystkim takie, które mnie naprawdę kręcą. Odcinanie kuponów nie jest złą praktyką, bo daje przede wszystkim stabilizację finansową. Poza tym, jak już się przygotowało dużo dobrych kompozycji, no to człowiek ma prawo w jakimś momencie powiedzieć: „To teraz odpocznę i pogram to, co zrobiłem do tej pory". Jasne, że można tak postąpić, ale jednak mnie bardziej kręci zajmowanie sie nowymi tematami. Tak właśnie mam z Gaborem. To jest okazja dużo ciekawsza artystycznie niż to, co miałbym robić, odcinając kupony.

ODCINANIE KUPONÓW NIE JEST ZŁĄ RZECZĄ, BO DAJE PRZEDE WSZYSTKIM STABILIZACJĘ FINANSOWĄ.

– Gaborze, czy wychowałeś się na muzyce taty?

G.B.: – Nigdy nie słuchałem T.Love. Znałem utwory taty, ale nie odtwarzałem ich regularnie. Raczej słuchałem muzyki zagranicznej, głównie brytyjskiej. Polska muzyka rockowa nie była w obszarze moich zainteresowań. Natomiast jest kilka zespołów i albumów, które bardzo lubię. Np. pierwszy album Oddziału Zamkniętego. Inspiracji szukam w muzyce brytyjskiej.

– To słychać.

G.B.: – Najbardziej cenię britpop. Oasis, Pulp, Primal Scream – zespoły z przełomu lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych w Anglii.

– Jesteś bardziej Oasis czy Blur?

G.B.: – Jestem bardziej Oasis.

– A ja Blur [śmiech].

G.B.: – Zdarza się i tak. Nasz album, nad którym teraz pracujemy, będzie szedł w stronę lat siedemdziesiątych. Będzie mocno rockowy, ale pojawiają się tam też spore zaskoczenia. Na pewno jest to ambitne przedsięwzięcie. Wkładamy bardzo dużo pracy w to, aby wszystko brzmiało tak, jakbyśmy chcieli, tak, jak sobie wymarzyliśmy. Żeby to było nowoczesne, współczesne, ale oparte na tradycji rocka lat 70.

J.B.: – Może Cię to zdziwi, ale rzucam hasło – Elton John.

– O właśnie! Dlaczego w Polsce branża muzyczna wstydzi się popu i nieustannie dorzuca do niego określenie „alternatywny", który z natury gryzie się z popem?

J.B.: – To jest psychologia Polaków w zakresie muzyki i jej fanów. My się zawsze czegoś wstydzimy, coś nam imponuje. Dla mnie był straszny rozdźwięk pomiędzy tym, co jest alternatywne, a tym, co jest popowe. Rzeczy pośrodku mają mniejsze prawo bytu. Wszyscy się skłaniają albo ku lewej, albo ku prawej stronie. Rzeczy pośrodku są najbardziej komunikatywne i mogą trafić do wszystkich, ale jednocześnie mogą mieć dobrą jakość.

Z KOMPOZYCJI NAPISANYCH DLA T.LOVE JAKOŚ DA SIĘ ŻYĆ.

eprasa.pl b71987bd04

Ich wcale tak dużo nie ma. My z Gaborem staramy się robić piosenki i wciąż je tworzymy. Np. ja rzucam hasło – Elton John, a Gabor mówi, że to brzmi jak Robbie Williams. To jest ciekawe, jak przenosi się rozumienie muzyki pomiędzy pokoleniami. Okazuje się, że dobre piosenki mają podobną konstrukcję i podobne elementy, które kultura przenosi dalej. Wracając do pytania – nie jesteśmy najważniejsi w biznesie muzycznym i nie tworzymy go tak jak Anglosasi. Taka jest prawda. Niestety nie zaproponowaliśmy też niczego takiego, co się liczy w muzyce pop. Nie ma nas na Grammy itd.

– Czy radio ma jeszcze jakieś znaczenie dla muzyków?

J.B.: – Znaczenie mają radio i telewizja. Mimo że wieszczyło się, że w dobie internetu klasyczne media padną, to wciąż mają bardzo duży wpływ. Są odbiorcy przyzwyczajeni do starych mediów i to jest dla nich ważne. Nie przypadkiem duże festiwale są połączone z mediami tradycyjnymi. Są tam redaktorzy radiowi. Podobnie każde duże przedsięwzięcie telewizyjne ma patrona radiowego. To się w dalszym ciągu liczy.

– Jak łączyć nowoczesne brzmienia z klasyką gitarową?

J.B.: – Korzystaliśmy z pomocy producentów, takich jak Paweł Krawczyk. Z nim zrobiliśmy dwa najważniejsze nasze utwory do tej pory, czyli „Szał" i „3:30". Notabene one zostały zauważone przez radio i mimo że jesteśmy początkującym składem, to nasz dystrybutor zauważa, że jesteśmy puszczani w radiu. Mamy lepsze wyniki niż niektórzy na naszym poziomie. A Gabor chce jeszcze więcej gitar.

Jan Benedek:

– „Son, don't go my way" – tak zatytułowałem foto Gabora na Instagramie, gdzie jako ośmiolatek próbuje wydobyć dźwięk z mojej gitary w naszym studiu. Wtedy jeszcze mówił do mnie „Janek", co mnie lekko śmieszyło, ale akceptowałem ten antypaternalistyczny styl w imię rock'n'rollowego luzu, rzecz jasna.

Nie odmówiłem, kiedy jako 12-latek zaprosił kolegów z klasy do studia na nagranie swojej wersji jednej z piosenek, do której ułożył własny tekst, całkowicie ignorując oryginał. Nie odmówiłem, kiedy poprosił mnie o naukę obsługi studia, urządzeń i oprogramowania. „Nie idź tą drogą" – cały czas dzwoniło mi w uszach moje własne ostrzeżenie, bo mało ojców życzy swoim dzieciom kariery w artystycznych zawodach pełnych dołków, zawirowań i huśtawki szczęścia i innych nastrojów. Wolimy dla nich spokojnych karier prawników czy lekarzy, prawda? Myślałem zresztą, że to minie z wiekiem.

G.B.: – Z naszej dwójki to ja jestem bardziej konserwatywny, jeśli chodzi o brzmienie, bo mi wyszedł wyższy wiek w podsumowaniu na Spotify.

– To po ile Wam wyszło?

G.B.: – Mi czterdzieści parę, a tacie dwadzieścia pięć.

W LATACH 90. ROBILIŚMY WSZYSTKO NA DZIKO I MNIEJ SIĘ KOMBINOWAŁO.

– Gaborze, a czego słuchają Twoi rówieśnicy?

G.B.: – Przede wszystkim dużo rapu i muzyki alternatywnej z zagranicy.

– Muzyka gitarowa wraca do łask?

G.B.: – Myślę, że tak. Ludziom przeszkadza to, że muzyka stała się bardzo sterylna. Wszystko jest perfekcyjne. Tak samo jest z filmami i serialami. Ludzie mają dość tego, że w każdym serialu wszystko jest idealnie doświetlone, nie ma w nich miejsca na brud. W „3:30" nam to wyszło – to jest piosenka wyprodukowana nowocześnie, ale gitary i syntezatory są w niej zabrudzone. Tak samo dzieje się z wokalem. Zresztą stąd wziął się też mój pomysł na teledysk, który jest nagrany w proporcjach 4:3 starą kamerą w stylu VHS-owym.

– Czym zajmujesz się na co dzień?

G.B.: – Studiuję.

eprasa.pl b71987bd04

Z szybkim biegiem lat zza drzwi jego pokoju dobiegało coraz więcej dźwięków gitary. Nie namawiałem ani nie oponowałem, ale gdy Gabor z całkowitą powagą powiedział:

– Tato, róbmy to razem. – Szczęka opadła mi do samej ziemi.

– Co Ty mówisz? Czy Ty, świeżo upieczony student stosunków międzynarodowych, wiesz, jakie to trudne wylansować nową nazwę? Piosenki? Zobaczysz, nikt nas nie zagra, nie wchodzę w to – odpowiedziałem.

– Tato – odparł z ironią, cytując AC/DC – „It's a long way to the top if you wanna rock'n'roll".

Tak też postawiliśmy pierwszy krok, wiedząc, że trzeba będzie postawić następne, z lekką niepewnością, ale też z adrenaliną, która towarzyszy skokowi na główkę – wszak to świetna przygoda, czuję się, jakbym założył nowy zespół z kolegą ze szkoły, w końcu mieszkamy niedaleko.

– Jaki kierunek?
G.B.: – Europeistykę.

– Janku, jesteś w stanie utrzymać się wyłącznie z kompozycji, które nagrałeś m.in. dla T.Love?
J.B.: – W życiu miałem różne momenty, kiedy musiałem z tego żyć. Jakoś tam da się z tego wyżyć. Można mieć gorzej, można mieć lepiej [śmiech].

– Niedawno rozmawiałem z Tomkiem Ladą, który napisał książkę o tym, jak rodził się przemysł muzyczny w Polsce w latach 90. Jak wspominasz tamte lata?
J.B.: – Były pełne pasji. Nic nie było wykalkulowane pod rynek. Na początku nie mieliśmy dużych firm fonograficznych z Zachodu, które przyszły do nas z całą strukturą promocyjną i nie tylko. Wcześniej robiliśmy wszystko na dziko i mniej się kombinowało. Byliśmy w takim wieku, że mieliśmy świeże pomysły, chciało się nam. Fajnie jest mieć takie doświadczenie, ale z drugiej strony dobrze też go nie mieć, bo to sprawia, że robisz wszystkie rzeczy na „bezczela" i odważne. Np. na płycie „King" T.Love są tak skrajnie różne utwory. Ta płyta nie jest z jednej sztancy – właściwie zero kalkulacji.

TO JEST CIEKAWE, JAK PRZENOSI SIĘ ROZUMIENIE MUZYKI POMIĘDZY POKOLENIAMI.

– Powroty czy rozstania – co jest trudniejsze?
J.B.: – Rozstania i powroty to są zupełnie inne tematy. Wyszło, jak wyszło. Nie chcę w tym momencie o tym mówić. Natomiast muzycznie zawsze chciałem spróbować czegoś nowego. Chciałem, żeby mój powrót do T.Love był świeży. Znowu chciałem spróbować nawiązać produkcyjnie i brzmieniowo do pewnych trendów, bo tak pokazuje się, że nie jest się „dziadem". Hey przez wiele lat potrafił nawiązać dialog stylistyczny z tym, co się wokół nich dzieje. Nie można być dziaderskim. Trzeba mieć rękę na pulsie.

– Da się ubrać w słowa Twój styl?
J.B.: – Nie wiem. Staram się robić rzeczy w sposób zrozumiały i uniwersalny, przede wszystkim brzmieniowo. Chciałbym, żeby one były ciekawe, żeby nie były jak spod sztancy, bo mi z łatwością przychodzi komponowanie piosenek, które są zapamiętywane. To przechodzi przez moją głowę, nie ma w niej żadnych mechanizmów, po prostu to czuję. Ale czasami trzeba się nagłowić, żeby zrobić coś ciekawiej. Gabor jest nastawiony do tego bardziej eksperymentalnie – to mnie pobudza i powoduje, że chcę zaryzykować.

– Czego możecie się od siebie nauczyć?
G.B.: – Od taty mogę się przede wszystkim nauczyć wszystkich tajemnic branży muzycznej, które on już poznał na przestrzeni lat i o których ja nie mam pojęcia, bo nie mam jeszcze tak bogatego doświadczenia. Jest mi ono potrzebne na ten moment, bo mam dopiero dwadzieścia lat.

– A czego Jan może się nauczyć od Gabora? Myślę, że to będzie piękna puenta naszej rozmowy.
J.B.: – Gabor mi mówi tak: „Weź się tak nie przejmuj, najwyżej następnym razem wyjdzie nam lepiej". To jest w nim najlepsze, że ma takie świeże podejście i chce zaryzykować i to jest super. Mi tego brakuje. A w tym roku na jesieni ukaże się nasza płyta pod tytułem „Vintage".

eprasa.pl b71987bd04

FILM

Pojedynek w sanatorium u Gorkiego

„Pojedynek” Łukasza Palkowskiego to bardzo dobry film, który pokazując fabularną wizję małego wycinka historii Polski, równocześnie nakreśla nasze losy i dylematy niezmienne od setek lat. Pytania, które stawia Palkowski, są niestety **aktualne również dziś.** Jak mówi sam reżyser – nawet bardziej niż wtedy, gdy kilka lat temu rodził się pomysł „Pojedynku”.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl b71987bd04

„POJEDYNEK" TO FILM O SOWIECKIEJ AGRESJI

na Polskę i zakończonej masowym mordem próbie przeciągnięcia na stronę Moskwy uwięzionych w Kozielsku przedstawicieli polskiej elity. Choć sam obraz zaczyna udana i bardzo mocna scena batalistyczna, reszta filmu to dramat czy – jak chce dystrybutor – thriller psychologiczny. Tytułowy pojedynek rozgrywa się między stworzoną na potrzeby filmu postacią Karola Grabowskiego, genialnego pianisty, początkowo próbującego ukryć swoją tożsamość, i Wasilijem Zarubinem, majorem NKWD z intelektualnymi aspiracjami i ambicją wykreowania nowej, powojennej elity świata, który próbuje Grabowskiego przekonać do zdrady.

Fot. materiały dystrybutora

Od uśmiechu do płaczu

Pianistę gra Jakub Gierszał, którego Palkowski wcześniej umieścił już w głównej roli swojego poprzedniego pełnego metrażu. „Najlepszy" na ekrany wszedł w 2017 roku i opowiadał o losach Jerzego Górskiego, triatlonisty, który najpierw zaliczył całkowity upadek jako człowiek, by odbić się od samego dna i osiągnąć w sporcie wszystko, co było do osiągnięcia. „Najlepszy" odniósł spory sukces w kinach, choć już niekoniecznie w recenzjach krytyków, był zresztą filmem bardzo wyczekiwanym. Wcześniej bowiem Palkowski wygrał wszystko, robiąc znakomity film „Bogowie" pokazujący bój, który z władzami PRL i wszechobecną niemocą toczył nasz genialny kardiochirurg Zbigniew Religa wraz z gronem oddanych współpracowników. „Bogowie" zdobyli szereg nagród środowiskowych, byli też w swoim czasie najchętniej oglądanym w kinach polskim filmem. Wcześniej był jeszcze „Rezerwat" – stworzony z Marcinem Kwaśnym jako współscenarzystą i odtwórcą głównej roli ciepły portret cieszących się najgorszą sławą podwórek i kamienic starej warszawskiej Pragi. Po tych trzech filmach krytyka zarzucała Palkowskiemu, że wszystkie jego filmy mają służyć poprawie samopoczucia widza. Ten zarzut wydaje mi się mocno krzywdzący, o ile w ogóle można uznać takie stwierdzenie za zarzut. Czy „Pojedynek" również wprawi kogoś w lepszy nastrój? Nie sądzę. Nie pamiętam, czy po przedpremierowym pokazie, w którym miałem okazję uczestniczyć, w niewielkiej sali kinowej przy Muzeum Sztuki Nowoczesnej rozległy się oklaski. Jeśli tak, to bardziej moją uwagę przykuł płacz dobiegający z wielu rzędów. Przy czym nie był to lament nad złym filmem, wręcz przeciwnie – dowód na to, jak wiarygodnie udało się Łukaszowi Palkowskiemu pokazać dramatyzm losów polskich elit, których gehenna zaczęła się w obliczu niemieckiego i sowieckiego ataku na nasz kraj, a skończyła w stercie ciał zepchniętych do głębokiego, wykopanego w katyńskim lesie dołu.

Major z innego świata

Nim jednak dotrzemy do tego dramatycznego końca drogi Grabowskiego i jego towarzyszy, przejdziemy z nimi pozornie nienajgorszą w porównaniu z losami wielu Polaków drogę. Nienajgorszą, bo choć są oni uwięzieni w dziwnym obozie (oficjalnie funkcjonującym jako sanatorium im. Gorkiego!), którego sami sowieci za obóz jeniecki uznać nie chcą, więc i praw

NA POLECENIE NAJSTARSZEGO STOPNIEM UWIĘZIONEGO POLACY W OBOZIE ODDAWALI ZARUBINOWI HONORY OFICERSKIE.

eprasa.pl b71987bd04

jeńców więźniom nie dają, bywają bici i prześladowani, wciąż jednak próbuje się ich kusić. Ba! Kuszenie to rozgrywa się niemal w myśl „postulatu" Zbigniewa Herberta sformułowanego w „Potędze smaku". Zarubin, choć pochodzący z robotniczej rodziny, zdążył nabrać ogłady, podróżując i pomieszkując w wielu krajach, między innymi w Niemczech, we Francji, a nawet w Chinach jako sowiecki agent. Mówił wieloma językami, znał się na muzyce i innych dziedzinach sztuki, a przy tym, co wynika z samych świadectw, potrafił być i bywał ludzki dla swoich „podopiecznych". Był właścicielem obwoźnej, składającej się z kilkuset książek w kilku językach biblioteki, którą udostępniał jeńcom. Choć akurat tego nie zobaczymy w filmie, z relacji ocalałych wynika, że na polecenie najstarszego stopniem uwięzionego, gen. Henryka Minkiewicza, Polacy w obozie oddawali Zarubinowi honory oficerskie. Ta relacja musiała być więc dość nietypowa, choć oczywiście nie znaczy to, że mamy się nad majorem jakoś specjalnie roztkliwiać. Swoją misję przewerbowania Polaków przegrał, nie uratował ich przed śmiercią, ale też nie poniósł konsekwencji porażki swego „eksperymentu wychowawczego". Z Kozielska dość szybko trafił na misję w Waszyngtonie, gdzie z większym już powodzeniem werbował kolejnych agentów. Po dekonspiracji wrócił do Związku Radzieckiego, by tam przejść z przyczyn zdrowotnych do rezerwy. Uhonorowany wieloma odznaczeniami zmarł 33 lata później niż większość polskich oficerów, z którymi zetknął go wojenny los. Filmowego Zarubina gra znany między innymi z roli Petyra Baelisha (zwanego Littlefinger) Irlandczyk Aidan Gillen. W swojej roli wypada bardzo przekonująco, tym bardziej że jak swój historyczny odpowiednik rozmowy z jeńcami prowadzi – w zależności od ich specyfiki – po francusku lub – jak z Grabowskim – po angielsku. Jednak część scen odegrać musiał po rosyjsku i to – jak mówi Palkowski – wymagało dużo więcej pracy i dzielenia scen na krótsze fragmenty. W filmie, oprócz licznych aktorów ukraińskich grających postacie rosyjskojęzyczne, znajdziemy jeszcze jednego gościa z Wysp. To wiekowy już Paul Freeman, tu w roli woźnicy-szambiarza pomagającego Grabowskiemu w ucieczce.

WSZYSTKO SKŁADA SIĘ W OBRAZ WIARYGODNY, MOGĄCY JEDNYM HISTORIĘ PRZYPOMNIEĆ, A INNYM PRZYBLIŻYĆ.

Pełen przekrój

W polskiej obsadzie filmu poza Gierszałem znajdziemy kilka mniej lub bardziej znanych nazwisk. Tomasz Kot gra złego ducha całej opowieści – pojawiającego się jako zwiastun nieszczęścia i śmierci Ławrientija Berię. Bogusław Linda jest obozowym lekarzem funkcjonującym gdzieś w zawieszeniu w strukturze i hierarchii, jednak z takim samym jak wszyscy niewypowiedzianym wyrokiem śmierci. Jeńcy stanowią cały przekrój ówczesnej polskiej elity. Jest pułkownik Tucholski, jak go określa grający tę postać Antoni Pawlicki – „pozytywny antysemita". Jest żydowski matematyk, Leon Sztein, grany przez Wojciecha Mecwaldowskiego. Wśród tłumu postaci pojawia się też między innymi góral, pilot Maciej Gąsienica, grany przez młodszego brata reżysera, Grzegorza, który przed laty dał się poznać jako świetny aktor dziecięcy w „Rezerwacie", w którym grał rolę małego chuligana z niesamowitym talentem do robienia zdjęć. Łukasz Palkowski potrafi kreować ciekawe i dobrze służące jego filmom postaci dziecięce. Tu rolę tę odgrywa syn Wasilija Zarubina, Saszka (Grisza Gorobuczuk). Mały chłopiec w realiach obozowych jest kimś wyjątkowym. Jako syn Zarubina cieszy się swobodą, nie jest jednak, jak można by się spodziewać, początkującym małym psychopatą korzystającym ze swej bezkarności. Wręcz przeciwnie – to wrażliwy dzieciak, który najpierw przygarnia włóczącego się za Grabowskim bezdomnego psa, a później zaprzyjaźnia się z samym pianistą, który, choć niechętnie, zaczyna uczyć go gry na instrumencie. I to właśnie postać Saszki (nie bez pomocy psa) wprowadzi w akcję trochę humoru, ale też całkiem dużą dawkę wzruszeń. Są tu też wreszcie postacie kobiece. Grana przez Julię Pietruchę pilotka Janina Lewandowska była jedyną kobietą w obozie. Narażona na ciągłe ataki sowieckich sołdatów (którzy później zasłyną z gwałtów podczas swego triumfalnego pochodu na Zachód), pełniła wśród uwięzionych Polaków wyjątkową rolę.
– To był mój powrót do aktorstwa po latach. Zaintrygował mnie scenariusz i postać Janiny Lewandowskiej – jedynej kobiety w Kozielsku, pilotki, osoby silnej i jednocześnie

eprasa.pl b71987bd04

bardzo wrażliwej. Interesowało mnie, jak funkcjonowała w męskim świecie obozu. Wiem, że była nazywana „Matką Boską Kozielską", bo pełniła rolę opiekunki i rozjemczyni. Jej siła polegała na wrażliwości – mówiła po pokazie Pietrucha, która w filmie miała także okazję zaśpiewać podczas obozowej Wigilii (która kojarzyć się może ze sławną „Wigilią na Syberii" Jacka Malczewskiego i inspirowaną nią piosenką Kaczmarskiego), śpiewa też (wspólnie z Mrozem) towarzyszącą premierze piosenkę „Anioły". Ta ostatnia ma na YouTubie już ponad 1,3 miliona odsłon. Oby była to dobra zapowiedź podobnego sukcesu frekwencyjnego samego filmu. Na chwilę na ekranie pojawia się też Anna Próchniak, grająca żonę Grabowskiego, lecz ten krótki moment jest istotny dla dopełnienia postaci głównego bohatera. – Moja bohaterka [...] jest dramaturgicznie bardzo ważna – tłumaczy Próchniak. – To ona otwiera dostęp do świata emocjonalnego Karola. Widz dostaje wgląd w to, czego on nie pokazuje innym – mówi aktorka. Karykaturalną rolę odwiedzającej więźniów z gazetkami propagandystki gra Magdalena Koleśnik, w jednej scenie pojawia się Rosjanka Tania (Daria Polunina) i to tyle, jeśli chodzi o kobiety na ekranie.

Długa droga do filmu...

Ważnym elementem filmu są znakomite, klimatyczne zdjęcia Piotra Sobocińskiego juniora i udana muzyka Bartosza Chajdeckiego. Scenografia jest wiarygodna, podobnie jak gra aktorska, a wszystko składa się w obraz mogący jednym historię przypomnieć, a innym przybliżyć. – Chcieliśmy, by film był uniwersalny i nie wymagał ogromnego historycznego zaplecza. Młodsze pokolenia często nie mają tego bagażu – i nie wiem, czy to dobrze, czy źle. W pewnym sensie im zazdroszczę, że nie muszą nosić ciężaru historii tak jak my – mówił po pokazie Palkowski. Scenariusz filmu, za który odpowiadają Dżamila Ankiewicz, Agatha Dominik i Robert Gliński, powstał na motywach wcześniejszego scenariusza Ankiewicz i Glińskiego, który z kolei oparty był na dwóch opowiadaniach Glińskiego i opublikowany został pod tytułem „Sanatorium im. Gorkiego" już w 2002 roku w miesięczniku „Dialog". Scenariusz ten jest jednak jeszcze starszy, w 2017 roku w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie" Robert Gliński, nagrodzony za „Sanatorium..." nagrodą Ministerstwa Kultury, mówił, że nie jest w stanie zrealizować tego projektu od 20 lat. Jak widać, wreszcie się udało, choć i teraz prace trwały dość długo. Jak mówi Sobociński, nad ostateczną wersją scenariusza prace zaczęto w trochę innych od obecnych realiach. – W międzyczasie wybuchła wojna w Ukrainie i wiele rzeczy nabrało innego wymiaru. Zaczęliśmy zadawać sobie pytanie: Jak my byśmy się zachowali? – mówił autor zdjęć. Reżyser dodał: – Historia ma tendencję do powtarzania się. Niewiele się jako ludzkość uczymy. Jeśli jest moment, by spojrzeć wstecz i zastanowić się, gdzie popełnialiśmy błędy, warto to zrobić. Nie mam złudzeń, że kino zmieni świat, ale może skłonić do refleksji.

> PALKOWSKI: „NIE MAM ZŁUDZEŃ, ŻE KINO ZMIENI ŚWIAT, ALE MOŻE SKŁONIĆ DO REFLEKSJI".

Wcześniej, podczas tej samej dyskusji, Łukasz Palkowski zwrócił uwagę na wpisanie się „Pojedynku" w dyskusje o tym, kim są i jak przez całą swoją historię zachowują się Polacy. – Ten film dotyka rany – mówi Palkowski – wiedzy o tym, że byliśmy mordowani, że musieliśmy podejmować dramatyczne decyzje. I kiedy dziś znów stoimy wobec podobnych dylematów, pojawia się pytanie, czy ta wiedza nas obciąża, czy daje siłę. Miałem po seansie refleksję, że może to wcale nie jest ciężar, tylko coś zgodnego z naszą naturą. W filmie pada zdanie, że jesteśmy nieracjonalni i uparci. Może po prostu tacy jesteśmy.

...zakończona sukcesem

„Pojedynek" swoją premierę będzie miał 27 lutego. Nie wiem, czy frekwencyjnie prześcignie „Bogów", nie wiem też, czy sam Palkowski miał takie ambicje. Myślę jednak, że film ten zasługuje na szeroką widownię i dobry odbiór. Recenzując przez lata polskie filmy historyczne, bardzo często musiałem pisać, że są to produkcje dobre pomimo pewnych braków budżetowych lub warsztatowych (drugie wynikały na ogół z pierwszych). Tym razem nie mam w ogóle takich uwag, ponieważ „Pojedynkowi" naprawdę niczego nie brakuje. Wydawałoby się, że z kilku powodów nie jesteśmy w najlepszym momencie dla tworzenia takiego kina, a jednak – dzięki samozaparciu, talentowi twórców i dobremu scenariuszowi, a także wsparciu stworzonych do tego instytucji państwa – się udało.

eprasa.pl b71987bd04

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Kamyk i zawór

Prawdziwe mistrzostwo to cień, inny na blasze (niemal wygaszający tam czerwień), inny – ciemniejszy o ton, stopniujący jednak, a nie redukujący barwę – na pudrowo-śliwkowym tle.

Ciekaw byłbym, co psycholodzy rozwojowi mają do powiedzenia w kwestii fascynacji (pozytywnej) koleją i pociągami. Tak, na pewno istnieją na ten temat setki artykułów w prasie specjalistycznej (mam nadzieję, że nie odwołujących się koniecznie do dziadka Freuda i skojarzeń, jakie rodzą zderzaki!), nie znalazłem jednak popularnej książki, która by to tłumaczyła. A przecież byłoby o czym pisać.

Rzecz jest niezwykła. Rewolucji przemysłowej doświadczamy od ćwierć milenium, specjaliści wskazują na jej kolejne etapy czy wcielenia. Ta, której doświadczamy współcześnie (nie jestem pewien, czy nie na nasze nieszczęście), czyli narodziny i dominacja AI, jest niewidoczna gołym okiem; to, co można w najlepszym razie zobaczyć, to hale serwerowni ze ślepymi ścianami bez okien. Ale poprzednie kroki – narodziny silnika parowego, turbin elektrycznych, samolotów i rakiet – zaświadczone są tysiącami pamiątek, nadal stanowią też część naszego życia. Tymczasem – choć oczywiście cieszy możliwość zwiedzenia kosmodromu czy zapory wodnej – to muzea kolejnictwa (nawet te tak fatalnie niedoinwestowane jako to warszawskie, podległe na swoje nieszczęście podwładnym marszałka Struzika) cieszą się największą frekwencją. I to lokomotywy, nadal pędzące po torach – potężne, triumfalne, przerażające jak szarżujący tuzin słoni – przyciągają uwagę zdecydowanej większości mężczyzn od lat trzech do stu.

Igor Przybylski „Big red", 2024, akryl, płótno, 80 x 80 cm

To naprawdę fascynacja niemal powszechna – i, jak wszystkie emocje publiczne, znalazła swoje ujście również w sztuce. Motyw „pociągu w literaturze" można by śledzić od Walta Whitmana i naszego Bolesława Prusa, przez Juliana Tuwima i socrealistyczny erotyk Adama Ważyka, aż po uwielbiane jak tory szerokie powieści Jaroslava Rudiša, na czele z najbardziej znaną „Stacją Europa Centralna". Z malarstwem jest nie gorzej: zaczyna się od Williama Turnera, a potem już pędzą style, Claude Monet, René Magritte (i uwielbiany przeze mnie, pełen dwuznaczności surrealista Paul Delvaux!) – aż hamują, z przenikliwą wibracją silnika, z piskiem hamulców, na stacyjce „Galeria aTak". Skład z kilkunastu wagonów (i dwóch co najmniej lokomotyw!), czyli obrazy Igora Przybylskiego.

Oczywiście te akryle, wystawione przy Mazowieckiej, nie są tak całkiem prostolinijnym hołdem złożonym kolei: stoi za nimi nostalgia, świadomość, że to najwspanialsze narzędzie podróżowania w najlepszym razie zmienia się, a często bywa po prostu wypierane przez inne maszyny lub wygaszane przez głupie rządy. Nie zawsze też Przybylski maluje pociągi – choć od nich zaczynał, wystawiając 23 lata temu i – sądząc z imponującej listy wystaw – pozostają one ulubionym motywem jego obrazów i fotogramów.

Można jednak o tym wszystkim nie wiedzieć i po prostu zachwycić się tymi akrylami – ich pozorną prostotą, przejrzystością pomysłu. Radością barwy i umiejętnością jej doboru: trudno oderwać oczy od umieszczonego na siwej cynkowej blasze cynobrowego uchwytu w „Big red", od energii, jaką funduje patrzącym – ale prawdziwe

eprasa.pl b71987bd04

mistrzostwo to cień, inny na blasze (niemal wygaszający tam czerwień), inny – ciemniejszy o ton, stopniujący jednak, a nie redukujący kolor – na pudrowo-śliwkowym tle.

Dałem radę (?) z zaworem, dałbym może radę z relingiem lokomotywy spalinowej na sąsiadującym obrazie „SM42-2177RP", ale z większością przedstawionych na tych obrazach części i urządzeń miałbym ogromny kłopot: „DB 182-016" (znów wspaniała czerwień, tym razem bliższa szkarłatowi!) to prawdopodobnie część pantografu, czyli odbieraka, podobnie „230-048", zresztą z cyklu „Laminatka" poświęconego kolejom czeskim. Ale już „Container love 1" to dla mnie zagadka: widać potężne odlewy stalowe, ale czy tuleje między nimi to tłoki, czy amortyzatory? O tym, że „H9-06", na pozór czysta karminowa abstrakcja, z mistycznymi krzyżami greckimi wpisanymi w okrąg, to w rzeczywistości „plastikowy kosz-plafon autobusu", mocowany śrubami z krzyżakowym łbem, a zaprojektowany wiele lat temu dla pracującego wówczas w zakładach Autosan Zdzisława Beksińskiego – tego Beksińskiego – nie dowiedziałbym się, gdyby nie katalog.

Nie chodzi jednak Przybylskiemu o prosty w sumie trick – czyli odmalowanie w płaskiej, plakatowej niemal manierze rozjaśnionych i uproszczonych, zgeometryzowanych, wybranych na chybił trafił detali technicznych. Tak mogli bawić się urzeczeni techniką futuryści i ich następcy, prostodusznie zachwyceni (czy to Francis Picabia, czy Rafał Malczewski) funkcjonalnością i harmonią maszyn. Nie, w tym wyborze drobnego, zwykle nieczytelnego szczegółu widzę raczej skłonność do szarad, podobną jak u jednego z ciekawszych bohaterów książek Lema, inspektora Shepparda:

„– Co pan tu widzi? – spytał Sheppard, usuwając się w cień.

Gregory przechylił się w bok, aby umknąć oślepiającej lampie na biurku. Na ścianie wisiał obraz, skryty w mroku. Tylko jeden jego fragment oświetlał ów samotny promyk. Na tej przestrzeni, nie większej od dwu monet, widniała ciemna plama, obrzeżona bladopopielatym, wygiętym słabo brzegiem.

– Ta plama? – powiedział. – Jakiś przekrój? Nie, nie mogę się w tym połapać, zaraz...

Ów kształt zaintrygował go. Patrzał coraz uważniej, mrużąc oczy. W miarę, jak obserwacja się przedłużała, powstawało w nim uczucie niepokoju. Dalej nie wiedział, na co patrzy, ale niepokój rósł.

– To jest jakby żywe... – powiedział, mimo woli zniżając głos. – Chociaż nie... wypalone okno w ruinie?

Sheppard podszedł bliżej i zasłonił sobą to miejsce. Nieregularna plamka światła leżała teraz na jego piersi.

– Nie może pan się w tym zorientować, bo widzi pan tylko część – powiedział".

Igor Przybylski, „SM42-2177RP", 2007, akryl, płótno, 80 x 80 cm

Oczywiście, Przybylski nie prowadzi podobnego śledztwa, co Sheppard i Gregory z powieści pod tym samym tytułem. Jemu jednak również idzie o zaintrygowanie, ukazanie nieoczywistości, unaocznienie, że poza znajomym kontekstem pospolite, umazane smarem czy zakurzone przedmioty zaczynają wyglądać jak kolorystyczna abstrakcja, maska, broń albo – tu myślę o szklanych drzwiach do poczekalni ze stacji Havlickuv – jak obraz Pierre'a Bonnarda.

Jest w tych obrazach, oprócz szarady i nostalgii, również przywracanie godności rzeczom, ukazywanie ich nieznaczącej, nieprowadzącej ku niczemu, niezaprzeczalnej urody. To zabieg trochę podobny do japońskich haiku czy pisarstwa młodego prostego prozaika Wojciecha Albińskiego: praktyka ukazująca znaczenie i piękno rzeczy codziennych. W naszych czasach – histerycznych, przekrzykujących się i coraz częściej wirtualnych – ogromnie sobie cenię taki powrót do konkretu, do herbertowskiego kamyka.

Igor Przybylski, „Niebezpieczne połączenie". Galeria aTak, ul. Mazowiecka 11 lok. 38, Warszawa (wtorek i czwartek: 11–18, sobota: 11–16); 22 stycznia – 28 marca br.

eprasa.pl b71987bd04

MUZYKA

Koty dachowce

„Anioły dziś latają nisko” – tymi słowami piosenki Andrzeja Koryckiego **żegnano przedwcześnie zmarłą** jego drugą połowę duetu muzycznego – Dominikę Żukowską.

Agnieszka Żurek

Duet Korycki – Żukowska słynął ze szczególnej atmosfery koncertów. To nigdy nie był „performance”, ale zawsze spotkanie. Białystok, 29.01.2013 r., koncert charytatywny.

fot. Anatol Chomicz / Forum

eprasa.pl b71987bd04

Śmierć utalentowanej, delikatnej, skromnej i subtelnej wokalistki poruszyła przedstawicieli nie tylko środowiska szantowego, ale przede wszystkim miłośników poezji śpiewanej, którzy przychodzili na koncerty duetu Korycki – Żukowska pooddychać nieco lżejszym powietrzem niż to, które na co dzień wpada do naszych płuc przesycone sensacyjno-hejterskim smogiem.

„Nie śpiewamy, jeśli ludzi nie ma obok"

– Zawsze powtarzam, że naszym największym szczęściem jest to, że możemy śpiewać to, co się nam podoba, czyli często bardzo wzruszające ballady. To wcale nie jest takie popularne w dzisiejszych czasach. I mamy ogromne szczęście, że spotykamy na swojej drodze muzycznej osoby, które też są w podobny sposób wrażliwe i które chcą słuchać tego, co nam gra w duszy – mówiła Dominika Żukowska w wywiadzie dla Telewizji Piotrków. – Nasza natura jest nieokiełznana, jesteśmy bardzo spontaniczni, określamy siebie jako koty dachowce. Nigdy nie wiemy, co zagramy, nigdy nie mamy planu na dany koncert. Staramy się wyczuć publiczność, podążamy też za własnymi nastrojami, które też przecież są różne. Każdy nasz koncert jest inny – dodała.

> ***Staramy się skupić na treści i zaśpiewać piosenki z szacunkiem do nich, najlepiej, jak potrafimy. Tylko tyle i aż tyle.***
>
> **DOMINIKA ŻUKOWSKA**

Pytana o plany studyjne odpowiedziała żartobliwie, że wydanie płyty wiąże się zawsze z ryzykiem, że ludzie przestaną przychodzić na koncerty, ponieważ dopóki nie ma krążka, którego mogą posłuchać w domu – nie mają innego wyjścia, niż posłuchać występu osobiście. – Nagrywanie płyty wiąże się z zamknięciem się w studiu, a na dodatek w moim odczuciu jest takie bezduszne. Wydaje mi się wtedy, że mam inny głos, nie ma emocji, nie ma publiczności i my się po prostu nie za bardzo do tego nadajemy. Nawet jak była pandemia i wiele zespołów decydowało się na koncerty online, to my z tej formy zrezygnowaliśmy, bo nie wyobrażamy sobie śpiewania, jeżeli ludzi nie ma obok. Cieszymy się, kiedy publiczność mówi, że my im dajemy energię, ale prawda jest taka, że my też tę energię od ludzi odbieramy. To jest wymiana siły, która jest sensem tego wszystkiego – stwierdziła.

Taki sposób pojmowania sensu tworzenia, kiedyś chyba oczywisty, obecnie staje się rzadkością. Często przyjmowaną miarą wartości działania jest w dzisiejszych czasach skuteczność. A co to tak naprawdę znaczy? Sprowadzając sprawę do absurdu, można stwierdzić, że bardzo skuteczna bywa... przemoc. I czy nie zmierzamy powoli do przyjęcia tego chorego zjawiska za konieczne i do pogodzenia się z nim? Na razie w warstwie słownej, w debatach o tym, kto kogo „zaorał", „rozjechał" i „zniszczył". Ale przecież od słowa się wszystko zaczyna. Gdzie się podziała siła poezji śpiewanej, która była zdolna kruszyć mury i systemy totalitarne, za którą można było trafić do więzienia albo – za naszą wschodnią granicą – nawet do łagru? Gdzie jest Zbigniew Herbert, Karel Kryl, Włodzimierz Wysocki, Bułat Okudżawa, Edward Stachura? Kto dzisiaj boi się słowa, które nic nie znaczy?

„Dobrze się czasem pomylić"

– Publiczność, która przychodzi na nasze koncerty, jest bardzo wrażliwa. A takich wrażliwych ludzi jest dzisiaj już coraz mniej – mówiła Dominika Żukowska. Szczególna nuta w jej głosie nie była „produktem" wyłącznie artystycznej doskonałości, ale przede wszystkim jej subtelnej, delikatnej duszy i jej wewnętrznego świata. O doskonałości formalnej – choć była profesjonalistką – mówiła: – W dzisiejszych czasach dużo jest grania z playbacku, także dobrze jest czasami się pomylić, żeby publiczność miała pewność, że gramy na żywo.

Duet Korycki – Żukowska słynął ze szczególnej atmosfery koncertów. To nigdy nie był „performance", ale zawsze spotkanie. Artyści kochali swoją publiczność z wzajemnością. – W dzisiejszym świecie, kiedy wszystkim brakuje czasu, jeśli ktoś przychodzi na nasz koncert, decyduje się poświęcić nam to, co najcenniejsze, czyli swój czas, należy mu się ogromny szacunek – mówiła Dominika Żukowska. Choć piękna i utalentowana, nie miała w sobie nic z celebrytki. Naturalna,

GDZIE SIĘ PODZIAŁA SIŁA POEZJI ŚPIEWANEJ, KTÓRA BYŁA ZDOLNA KRUSZYĆ MURY I SYSTEMY TOTALITARNE?

eprasa.pl b71987bd04

skromna, z dystansem do siebie, opowiadała ze śmiechem historie o spotykających ją na żywo fankach, które stwierdzały szczerze, że „w internecie wygląda pani korzystniej niż na żywo". Choć na koncerty duetu Korycki – Żukowska bilety wyprzedawały się na pniu, artyści wypowiadali się o swojej twórczości z pokorą i prostotą. – Kiedy jest piękna piosenka, to najważniejsze jest to, aby jej nie zepsuć. W dzisiejszym świecie, w którym mamy przerost formy nad treścią, paradoksalnie naszą siłą jest to, że nie kombinujemy nadmiernie z formą. Nie ma tańców, fleszy, nadmiaru instrumentów. Staramy się skupić na treści i zaśpiewać piosenki z szacunkiem do nich, najlepiej, jak potrafimy. Tylko tyle i aż tyle – mówiła Żukowska w rozmowie z telewizją Legnica TV. Piosenkarka odbiegała od dzisiejszych celebrytek także tym, że była… zadowolona ze swojego życia i nie chciała w nim niczego więcej ponad to, co już miała. – Uważam, że od życia nie należy chcieć zbyt dużo i że małą łyżeczką też się można najeść. Mamy naprawdę duże szczęście, że możemy robić to, co lubimy. Można nam na Nowy Rok życzyć, żeby nic się nie zmieniało. I to nam wystarczy – mówiła.

ZANIM WRAŻLIWOŚĆ WPISZEMY NA LISTĘ CHORÓB PSYCHICZNYCH, ODKURZMY NASZE GITARY (CHOĆBY TYLKO MENTALNE) I ZANUĆMY SOBIE COŚ POD NOSEM.

„Dziś cisza brzmi inaczej"

Niestety, zmieniło się wszystko. Dominika Żukowska odeszła do wieczności 11 lutego 2026 roku, w wieku 41 lat. „Dziś cisza brzmi inaczej. Jej głos był jak światło w chwilach ważnych i kruchych – prowadził, koił, zostawał pod powiekami na długo. Piosenki, które tworzyła z Andrzejem Koryckim, splotły się z moimi wspomnieniami. Zostaje wdzięczność. Za dobroć, otwartość i głos, który potrafił zatrzymać czas i wywołać łzy. Do zobaczenia… Gdzieś tam…" – napisała jedna z fanek Dorota Przybylska.

„«Gdzieś tam, gdzie siedzi stary, dobry Bóg, jest dom naszych wszystkich dusz…» – śpiewała Dominika Żukowska, właścicielka przepięknego, przenikliwego, szczerego, nie przesadzonego, po prostu naturalnie brzmiącego głosu, którą poznałam dzięki mojemu mężowi, zakochanemu w szantach. Dominika i Andrzej Korycki tworzyli duet, dla mnie – cudowny pod każdym względem. Skromny, nie nadęty, o czymś. Dwie gitary, dwa mikrofony… Tylko tyle i aż tyle. Dominiko Żukowska, wyśpiewałaś i zaraziłaś swoim śpiewaniem niejednego. Nie umiem przejść obojętnie, stąd ten post" – pożegnała wokalistkę Wioletta Stępień.

Takich wpisów jest wiele, wrażliwych, mądrych, głębokich. Dominikę Żukowską pięknie pożegnali przedstawiciele tak różnych środowisk politycznych, jak Michał Gramatyka i… Rodacy Kamraci. Ci ostatni poświęcili jej godzinną audycję muzyczną z rozważaniami o triadzie platońskiej, pełną szacunku, nostalgii, bez swojego „znaku rozpoznawczego", czyli wulgaryzmów. To daje do myślenia. Poezja i delikatność są w stanie dokonać tego, czego nie potrafią przemoc i krzyk. Zanim się do reszty stechnokratyzujemy, zautomatyzujemy, zanim nasze życie nazwiemy „projektem", a wrażliwość wpiszemy na listę chorób psychicznych, odkurzmy nasze gitary (choćby tylko mentalne) i zanućmy sobie coś pod nosem. Może nawet ktoś do nas dołączy. A jeśli nie, to na pewno z niebieskich rej odpowie nam Dominika, która żyła według śpiewanego przez siebie motta:

Pewnie kiedyś mnie spytają
Czy naprawdę warto było
Całe życie obcym ludziom śpiewać
Obcym, tak jak wy…
A ja powiem wtedy cicho
Gdyby tak się przytrafiło
Mieć trzy życia, to bym mogła dla was
Śpiewać życia trzy […]

A gdy wszystko już przeżyję
I gdy wszystko już wyśpiewam
Zapakuję w worek nuty
I te dobre, i te złe
I gdy w czarnym futerale
Wylądуję w środku nieba
To zaśpiewam trzy piosenki
Może wysłuchają mnie

A tę pierwszą to zaśpiewam im
Za chatkę jakąś marną
A tę drugą to zaśpiewam im
Za czyjeś ciepłe serce
I tej trzeciej nie zaśpiewam już za darmo
Niech wam za nią tu spokoju ześlą więcej…

eprasa.pl b71987bd04

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Niebezpieczne stado celebryckich małp

Większość normalnych ludzi brzydzi się świata celebrytów. Nie bez słuszności. To jeden z najbardziej załganych, nabzdyczonych, bezmyślnych i bezużytecznych elementów większości społeczeństw. Ale lekceważyć go nie wolno.

Wszędzie, gdzie taka grupa istnieje, a istnieje prawie wszędzie, w zdecydowanej większości stanowi stado bezmyślnych małp z posuniętym do granic „inteligencji" zbiorowej instynktem stadnym, które fika w rytm impulsów podawanych przez „wiodące media" i „certyfikowane autorytety". To jedno im trzeba oddać, że układy choreograficzne, które w tym zakresie nieustannie prezentują, cechują się najwyższym poziomem synchronizacji. Jednocześnie ktokolwiek postawi stopę choć o milimetr inaczej niż reszta, jest natychmiast obdzierany ze skóry.

Stado, choć w swojej masie bezmyślne, jednocześnie stanowi siłę roboczą potężnego przemysłu propagandowego, który służy utrzymaniu władzy przez lewicowo-liberalną międzynarodówkę i jej lokalne oddziały. Na każde zawołanie kierownictwa w zwartym ordynku stawia się rzesza robotników, którzy są gotowi powtarzać jednym głosem najstraszliwsze bzdury. Aktoreczki na tematy polityczne, szansoniści na tematy historyczne, a w sumie to każdy cymbał z miedzianym czołem na każdy temat.

I jest to niestety mechanizm bardzo skuteczny. To na opinię publiczną działa. Myślę, że nie dlatego, że ludzie są w większości głupi, tylko dlatego że nie mają na co dzień czasu zajmować się wszystkim, więc kiedy widzą kogoś, kogo wcześniej widzieli w jakichś pozytywnych kontekstach, jako aktora w filmie czy twarz akcji charytatywnej, odruchowo zakładają, że „z ich zdaniem warto się liczyć". A tymczasem, co dość smutne, najczęściej nie warto, ponieważ istnieje poważna różnica pomiędzy medialną kreacją a rzeczywistym potencjałem stada małp.

W tryby tego mechanizmu zdarza się wpadać ludziom uznanym za „niebezpiecznych" dla władzy lewicowo-liberalnej międzynarodówki. Przykłady można mnożyć, jednak swego rodzaju odrażającą „świecką tradycją" III RP jest mielenie w jego żarnach prezydentów RP, których wybór nie został zatwierdzony przez „salon". Mało kto już pamięta, że pierwszym, którego to spotkało, był Lech Wałęsa, który później poszedł do „salonu" na służbę. Najboleśniejszym przykładem był atak na Lecha Kaczyńskiego, a ostatnim na Karola Nawrockiego.

Wraz ze swoimi mężami atakowane są żony prezydentów RP. Ostatnio Marta Nawrocka. Stado celebryckich małp wraz z tabunem „ekspertek" „wiodących mediów" doktoryzuje się w krytyce wyglądu i inteligencji pierwszej damy. Standard. Być może najciekawsze w tym wszystkim jest porównanie z wyglądem i inteligencją przedstawicieli stada i tabunu. Nienachalnie inteligentnych straszydeł, czasem bez szkoły, za to po nieudanych operacjach plastycznych.

W jakimś bardziej normalnym świecie być może mogłyby za Martą Nawrocką nosić torebkę. A być może i to nie, bo dzieci by straszyły.

eprasa.pl b71987bd04

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Reforma PIP. Piotr Duda: „To pudrowanie rzeczywistości”

Fot. M. Żegliński

Rząd przyjął nowy projekt ustawy reformującej Państwową Inspekcję Pracy. Pierwotna wersja została zatrzymana przez premiera Donalda Tuska, który obawiał się nadmiernej władzy urzędników.

W nowych przepisach zapisano, że inspektorzy będą mogli przekształcać fikcyjne umowy cywilnoprawne i B2B w umowy o pracę, ale proces odwoławczy będzie wydłużony. Decyzje inspektora nie będą wykonywane natychmiastowo.

Jeśli inspektor zdecyduje o zmianie umowy, to od jego decyzji będzie można odwołać się do okręgowego inspektora pracy, a następnie do sądu pracy. Zmiana pozornej umowy cywilnoprawnej na umowę o pracę będzie możliwa dopiero po prawomocnym orzeczeniu sądu.

Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” negatywnie oceniło projekt ustawy, a Piotr Duda stwierdził, że jest to jedynie „pudrowanie rzeczywistości”. Związkowcy skrytykowali również jedynie siedmiodniowy czas na konsultacje społeczne nad projektem.

W zeszłym roku liczba osób pracujących wyłącznie na umowach-zleceniach i pokrewnych wyniosła blisko 1,5 mln osób.

SPRZECIW LEŚNIKÓW

Ministerstwo Klimatu i Środowiska dąży do utworzenia subfunduszu w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Resort chciałby, aby trafiały tam środki, które byłyby pobierane od Lasów Państwowych. Chodzi o ponad 200 mln złotych rocznie. Środki miałyby trafić na finansowanie działań w obszarze ochrony środowiska.

Leśnicza Solidarność nie zgadza się z projektem ustawy w tej sprawie i sprzeciwia się temu,

eprasa.pl b71987bd04

Fot. M. Żegliński

„28 lutego w Sali BHP Stoczni Gdańskiej odbędzie się spotkanie organizowane przez Solidarność. Zaproszone są wszystkie związki zawodowe, stowarzyszenia, środowiska i grupy społeczne, którym leży na sercu obecna sytuacja w Polsce”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceprzewodniczący KK NSZZ „S”, 15 lutego, Telewizja Republika

by Lasy Państwowe odprowadzały do NFOŚiGW kwotę środków odpowiadającą 2 proc. przychodów ze sprzedaży drewna. „W aktualnych realiach odpowiada to kwocie ponad 200 mln zł, co zuboży w najlepszym scenariuszu około 30 procent rocznego wyniku finansowego Lasów Państwowych” – podkreślili.

„Lasy Państwowe są już obciążone daniną w wysokości 2 procent przychodów rocznie (ok. 230 mln zł) – na potrzeby dróg samorządowych. Odprowadzają również do budżetu znaczące podatki: VAT, PIT, CIT oraz podatki lokalne (2,5 mld zł)” – przypomniała leśnicza Solidarność.

Związkowcy podkreślili, że Lasy Państwowe od wielu lat w istotny sposób zasilają finansowo funkcjonowanie parków narodowych, a łączne roczne koszty wydatkowane na ten cel to około 30 mln zł.

Ponadto Rada Krajowego Sekretariatu Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa NSZZ „Solidarność” wyraziła stanowczy protest „przeciwko kolejnemu pominięciu” reprezentatywnych związków zawodowych w pracach opiniodawczych nad powyższym projektem ustawy.

Związkowcy wyrazili też sprzeciw wobec zaledwie siedmiodniowego terminu konsultacji publicznych – podobnie jak w przypadku nowej reformy PIP.

PIELGRZYMKA DO LICHENIA

Region Koniński NSZZ „Solidarność” zaprasza członków Związku oraz wszystkich zainteresowanych do udziału w pielgrzymce do Lichenia.

Związkowcy wyruszą na XXV Ogólnopolską Pielgrzymkę NSZZ „Solidarność” do Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski w Licheniu za nieco ponad dwa miesiące. Hasło tegorocznej jubileuszowej pielgrzymki, która odbywać się będzie 25 i 26 kwietnia, to „Uczniowie Misjonarze u Maryi”.

Pierwszego dnia, w sobotę, odprawiona zostanie Droga Krzyżowa. Nabożeństwu przewodniczyć będzie ksiądz Grzegorz Molewski, proboszcz parafii św. Jadwigi Śląskiej w Nieszawie.

Drugiego dnia Pielgrzymki wierni wezmą udział w Najświętszej Ofierze koncelebrowanej. Mszy Świętej w licheńskiej bazylice przewodniczyć będzie abp Józef Kupny, metropolita wrocławski.

Po Eucharystii związkowcy udadzą się pod pomnik Ojca Świętego Jana Pawła II oraz błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki – patrona NSZZ „Solidarność” – gdzie złożą kwiaty.

Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski w Licheniu powstało po objawieniach Matki Bożej.

W 1850 roku w Lesie Grąblińskim, 2 kilometry od Lichenia, pasterz bydła Mikołaj Sikatka kilkukrotnie widział Najświętszą Panienkę. Maryja wzywała ludzi do pokuty i odmiany nagannego życia oraz zebrania jałmużny na Msze Święte przebłagalne. Poleciła również, aby Jej obraz umieszczony na sośnie został przeniesiony w godniejsze miejsce i w ten sposób został zabezpieczony przed możliwymi zniewagami niewiernych.

Ponadto Matka Boża ostrzegała w objawieniach przed zbliżającą się epidemią cholery, która w 1852 roku dotknęła Wielkopolskę.

WYBRALI SOLIDARNOŚĆ

W poznańskiej firmie ADOB zatrudniającej ponad 400 pracowników powstała Organizacja Zakładowa NSZZ „Solidarność”. Przedsiębiorstwo należy do grupy Nouryon i jest dostawcą chelatowanych mikroelementów, a także nawozów specjalistycznych. Nowi członkowie Związku oczekują teraz na spotkanie z pracodawcą, by rozpocząć konstruktywny dialog i współpracę.

W ostatnim czasie Solidarność zawiązała się również w Muzeum Etnograficznym im. Seweryna Udzieli w Krakowie.

M.K.

Kalendarium Solidarności

25.02.1997 – Marian Krzaklewski przedstawia w Sejmie solidarnościowy projekt konstytucji RP.

eprasa.pl b71987bd04

Prognoza na dziś: Możliwy strajk w IMGW

W Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej zwolniono dyscyplinarnie przewodniczącą Solidarności Agnieszkę Harasimowicz. Działaczka była objęta **szczególną ochroną** przed zwolnieniem, a władze związkowe nie wyraziły zgody na taką decyzję. „S" wnioskuje o kontrolę PIP, a przewodnicząca ostrzega: „Stoimy na progu strajku".

Marcin Krzeszowiec

Fot. Solidarność

eprasa.pl b71987bd04

Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej to jedna z najbardziej rozpoznawalnych instytucji publicznych. Prognozowaniem pogody, zmianą warunków hydrologicznych i w końcu zapewnieniem meteorologicznej osłony naszego kraju zajmuje się blisko 1400 specjalistów i ekspertów działających w tym Instytucie.

W styczniu 2024 roku minister infrastruktury Dariusz Klimczak powierzył funkcję dyrektora IMGW prof. Robertowi Czerniawskiemu. Początkowo współpraca ze związkowcami układała się całkiem nieźle, ale w pewnym momencie to się zmieniło.

– Dyrektor, kiedy przyszedł do Instytutu, deklarował chęć rozmów, miał być dyrektorem otwartym, propracowniczym. I 2024 rok rzeczywiście tak wyglądał, to wszystko zapowiadało dobrą współpracę. Styczeń 2025 roku – jakby coś się zmieniło, ktoś zaczął prawdopodobnie dyrektorowi inaczej doradzać. Zero dialogu, wyłącznie konfrontacja, wyłącznie szykany i represje wobec Solidarności, wobec naszych działaczy – opowiadała na konferencji prasowej Agnieszka Harasimowicz, którą pracodawca zwolnił dyscyplinarnie po 23 latach pracy.

Odwet na Solidarności?

Zdaniem przewodniczącej Związku obecny konflikt w IMGW „to sytuacja bez precedensu" w najnowszej historii Polski.

– Po 1989 roku żaden dyrektor Instytutu Meteorologii nie pozwolił sobie na tak otwarty konflikt ze związkami zawodowymi. Żaden dyrektor nie unikał również tak uparcie i tak konsekwentnie dialogu ze stroną społeczną. Od ponad roku nasz dyrektor nie podejmuje z nami praktycznie żadnych rozmów. I co najważniejsze – żaden dyrektor po 1989 roku nie pozwolił sobie na zwolnienie szczególnie chronionego działacza Solidarności. Ten dyrektor zwolnił dyscyplinarnie przewodniczącą Organizacji Zakładowej, czyli mnie. To zwolnienie traktujemy jako odwet za nasze wcześniejsze wystąpienia i zgłaszane nieprawidłowości w zarządzaniu firmą – oceniła przewodnicząca Solidarności w IMGW, ostrzegając, że stoją „na progu strajku".

O jakie nieprawidłowości chodzi? Otóż w sierpniu 2025 roku dwa związki zawodowe, w tym Solidarność, wysłały pismo do ministra infrastruktury. Poza kwestiami płacowymi zwróciły w nim uwagę na zmiany w regulaminie organizacyjnym, które ich zdaniem były niekorzystne dla IMGW.

Pisały też o obsadzaniu stanowisk kierowniczych bez wcześniejszej otwartej rekrutacji, a także zgłosiły pewną sprawę, w której istniało podejrzenie naruszenia prawa.

> ***Dyrektor zwolnił dyscyplinarnie przewodniczącą Organizacji Zakładowej, czyli mnie. To zwolnienie traktujemy jako odwet za nasze wcześniejsze wystąpienia i zgłaszane nieprawidłowości w zarządzaniu firmą.***
>
> **AGNIESZKA HARASIMOWICZ, przewodnicząca „S" w IMGW**

– To naruszenie polega na tym, że w chwili powołania jednego z obecnych zastępców dyrektora Instytutu na to stanowisko osoba ta była jednocześnie dyrektorem generalnym firmy o profilu bezsprzecznie konkurencyjnym do profilu działalności naszego zakładu, czyli Instytutu Meteorologii – wyjaśniała przewodnicząca Harasimowicz.

Związkowcy twierdzą, że właśnie z tego powodu spotkały ich nieprzyjemności takie jak utrudnianie działalności związkowej i brak woli do dialogu ze strony pracodawcy.

Skarżyli się, że w październiku 2025 roku odebrano im możliwość publikowania komunikatów związkowych na stronie IMGW w zakładce dedykowanej Solidarności, którą wykorzystywali od co najmniej 2009 roku.

Co więcej, jak relacjonowała Agnieszka Harasimowicz, pracodawca zaczął recenzować działalność Solidarności, wysyłając pisma do wszystkich, niemal 1400, pracowników Instytutu.

– Na przykład pismo z 3 października, w którym zaatakował mnie personalnie, kilkukrotnie wymienił moje imię i nazwisko. Insynuuje, manipuluje, tak jakby chciał nastawić przeciwko mnie całą społeczność Instytutu. Nie udało mu się to, ponieważ odbiór był zupełnie inny, ale ludzie byli wstrząśnięci tym, że profesor, dyrektor publicznej instytucji pozwala sobie na takie publiczne szykanowanie jednej, wybranej osoby w piśmie do prawie 1400 pracowników Instytutu – podkreśliła.

Działaczce zmieniono też warunki pracy, co wiązało się z obniżką wynagrodzenia. Ponadto, jak twierdzi, wydawano jej polecenia obiektywnie niemożliwe do wykonania, a na końcu zwolniono ją dyscyplinarnie.

Spór zbiorowy

Do zwolnienia dyscyplinarnego Agnieszki Harasimowicz doszło w trakcie sporu zbiorowego, którego pracodawca – jak mówiła

eprasa.pl b71987bd04

na konferencji prasowej – nie chce uznać.

– To jest kuriozalne. Dyrektor twierdzi, że sporu zbiorowego w Instytucie nie ma, ponieważ nie otrzymał od nas uchwały dotyczącej sporu zbiorowego ani szczegółowych informacji dotyczących przebiegu sporu. Dyrektor chce wiedzieć – tak napisał do nas w piśmie – jak przebiegało głosowanie, ile osób głosowało i jak rozłożyły się głosy. Ponieważ nie daliśmy mu uchwały – bo nie musimy tego robić – ponieważ nie daliśmy mu tych szczegółowych informacji z przebiegu głosowania, to 13 lutego wysłał do nas pismo, w którym oznajmia, cytuję: „Sprawę uważam za zakończoną". Czyli dyrektor jednostronnie, bezprawnie stwierdził, że sporu zbiorowego nie ma – zaznaczyła przewodnicząca Solidarności w IMGW.

– Nic bardziej mylnego, spór został właściwie zgłoszony, jesteśmy w trakcie sporu zbiorowego, a co za tym idzie – zwolnienie dyscyplinarne przewodniczącej organizacji zakładowej w trakcie trwania sporu zbiorowego otwiera nam, związkowcom, prościusieńką drogę do strajku, a wcześniej referendum strajkowego – skwitowała.

Postulaty Solidarności

Organizacja Zakładowa NSZZ „Solidarność" w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej w spór zbiorowy z pracodawcą weszła 26 stycznia br., wysuwając sześć żądań.

Pięć z nich, jak przekonują związkowcy, dyrektor może spełnić, nie ponosząc żadnych kosztów. Chodzi o zaprzestanie działań „noszących znamiona dyskryminacji i nierównego traktowania" wobec Agnieszki Harasimowicz, przywrócenie możliwości publikowania komunikatów związkowych na stronie internetowej, a także przedstawienie planu redukcji stanowisk pracy oraz planów reorganizacji struktury IMGW w 2026 roku.

Związkowcy domagają się także transparentnej polityki zatrudniania i awansowania na stanowiska kierownicze, wysokospecjalistyczne oraz eksperckie w Instytucie. Chcieliby także, aby przedstawiono ministrowi infrastruktury propozycję dotyczącą wypłaty nagrody rocznej dla pracowników IMGW.

Ostatni postulat dotyczy podwyżek wynagrodzeń. Solidarność zaproponowała, aby wszyscy pracownicy IMGW otrzymali 1800 zł brutto podwyżki. O taką samą kwotę miałyby wzrosnąć także dolne i górne progi zaszeregowania.

– Z czego to wynika? 3200 to jest kwota, o jaką wzrosło przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej w latach 2021–2025. W tym samym okresie w Instytucie wynagrodzenia wzrosły mniej więcej o 1350 zł. Także 1800 zł to jest – zaokrąglając jeszcze w dół – różnica pomiędzy tymi dwiema kwotami. To nie jest mała kwota, ale to jest kwota, która powinna być rewaloryzowana w ciągu poprzednich lat – uzasadniała działaczka „S" w Instytucie.

Podała też przykład, że jeszcze w 2021 roku wynagrodzenie młodszego specjalisty w IMGW było na poziomie średniej krajowej, dzisiaj otrzymuje ją dopiero główny specjalista.

– Wartość nabywcza naszego wynagrodzenia spadła niesamowicie – podkreśliła.

Kontrola PIP i walka w sądzie

Sprawa zwolnienia Agnieszki Harasimowicz z IMGW trafi do sądu, w którym złożony zostanie wniosek o przywrócenie jej do pracy. Region Gdański NSZZ „S" o sprawie poinformował już ministra infrastruktury, a także wysłał pismo do premiera Donalda Tuska. Przewodniczący gdańskiej „S" Krzysztof Dośla zapowiedział również złożenie wniosku do Państwowej Inspekcji Pracy o kontrolę w Instytucie.

– Strasznie mi przykro, że koleżankę spotykają takie represje, bo zwolnienie to było kulminacją represji. Wcześniej wypowiedziano warunki zatrudnienia, przeniesiono na niższe stanowisko i zmieniono zasady wynagradzania. Również dołożono obowiązków, choć wiadomo było z góry, że nie jest w stanie podołać tej ilości obowiązków, jakie na nią nałożono, ale robi się to świadomie, z pełną premedytacją. Przykro mi bardzo, że postępują tak osoby z tytułami naukowymi. Takie rzeczy nie powinny się wydarzyć w takich instytucjach, które mienią się naukowymi – podkreślił przewodniczący Dośla.

W 2021 ROKU WYNAGRODZENIE MŁODSZEGO SPECJALISTY W IMGW BYŁO NA POZIOMIE ŚREDNIEJ KRAJOWEJ, DZISIAJ OTRZYMUJE JĄ DOPIERO GŁÓWNY SPECJALISTA.

eprasa.pl b71987bd04

Nie zgadzam się z decyzją ZUS, CO MOGĘ ZROBIĆ?

Niedawno otrzymałem niekorzystną decyzję ZUS. Odmówiono mi w **niej przyznania renty** z tytułu niezdolności do pracy. Nie zgadzam się z tym stanowiskiem i chciałbym się od niej odwołać. Jakie są moje prawa w tek kwestii, jakie dokumenty muszę przygotować i w jakim terminie mogę złożyć odwołanie?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Negatywna decyzja ZUS może być niewątpliwie problemem, zwłaszcza dla osoby, która boryka się z kłopotami zdrowotnymi. Zmaga się z tym wielu ubezpieczonych. Proszę jednak pamiętać, że każdy, kto otrzymuje decyzję odmowną lub kwestionującą wysokość świadczenia, ma prawo do odwołania się w procedurze przewidzianej przez ustawę o systemie ubezpieczeń społecznych. Podstawowe zasady są jasne: decyzję ZUS można zaskarżyć, jeśli ubezpieczony uważa, że została wydana z naruszeniem prawa lub na podstawie niepełnych danych. Pierwszym krokiem jest wniesienie odwołania do oddziału ZUS, który wydał decyzję, w terminie 30 dni od doręczenia decyzji. Odwołanie powinno być złożone na piśmie i może zawierać zarówno argumenty prawne, jak i faktyczne. Warto dołączyć dokumenty potwierdzające sytuację ubezpieczonego, takie jak orzeczenia lekarskie, dokumentację medyczną, zaświadczenia od pracodawcy lub inne dowody, które mogą uzasadnić zmianę decyzji. W odwołaniu należy jasno wskazać, z czym się nie zgadzamy oraz jakie przepisy lub okoliczności uważamy za niewłaściwie ocenione przez ZUS. Po wniesieniu odwołania ZUS może decyzję zmienić, uchylić lub utrzymać w mocy. Jeżeli ZUS podtrzyma decyzję, kolejnym krokiem jest wniesienie skargi do sądu ubezpieczeń społecznych, który rozpatruje sprawy na podstawie ustawy o systemie ubezpieczeń społecznych oraz przepisów Kodeksu postępowania cywilnego. Skarga powinna zawierać kopię decyzji ZUS, odwołania oraz wszystkich dokumentów dowodowych. W sądzie można również powoływać się na orzecznictwo, które uwzględnia praktyczne aspekty oceny niezdolności do pracy, chorób przewlekłych czy sytuacji rodzinnej. Warto pamiętać, że w przypadku świadczeń już przyznanych wniesienie odwołania nie zawsze wstrzymuje ich wypłatę. Jeżeli decyzja ZUS była odmowna, świadczenie może zostać wstrzymane do czasu rozpatrzenia odwołania, dlatego czasami konieczne jest złożenie wniosku o wypłatę zaliczkową lub przedterminową, aby nie utracić środków. Każda sytuacja jest oceniana indywidualnie przez ZUS, dlatego warto skonsultować się z oddziałem lub pełnomocnikiem. W praktyce istotne jest, aby terminy były przestrzegane, ponieważ niedotrzymanie 30-dniowego terminu odwołania może skutkować jego odrzuceniem. W przypadku potrzeby można skorzystać z pełnomocnika lub radcy prawnego specjalizującego się w prawie ubezpieczeń społecznych, co bywa szczególnie przydatne przy obszernej dokumentacji medycznej lub skomplikowanym uzasadnieniu decyzji. Podsumowując, każdy ubezpieczony, który nie zgadza się z decyzją ZUS, ma prawo do odwołania w ciągu 30 dni od doręczenia decyzji. Odwołanie powinno być dobrze udokumentowane i zawierać precyzyjne uzasadnienie. Jeśli ZUS podtrzyma decyzję, sprawę można skierować do sądu ubezpieczeń społecznych. Zachowanie terminów, kompletność dokumentacji i jasne wskazanie nieprawidłowości w decyzji zwiększa szanse na pozytywne rozpatrzenie sprawy. Procedura odwoławcza jest realnym narzędziem ochrony praw ubezpieczonego, a nie jedynie formalnością.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl b71987bd04

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

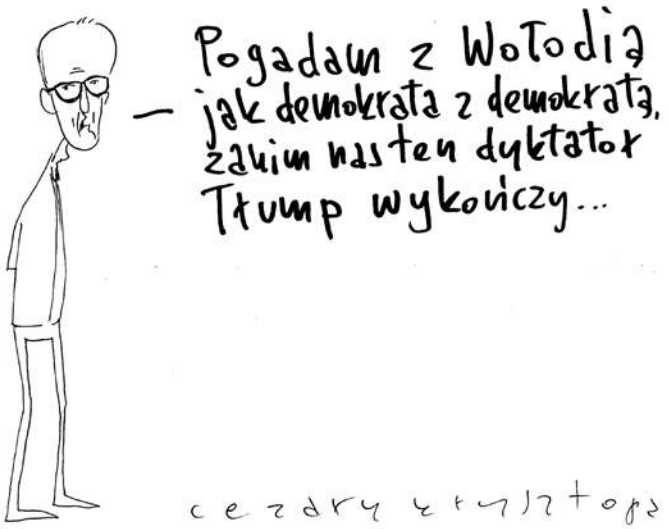

Nasi autorzy

Ferdynand Fodder (Totalitaryzm.eu, s. 17), we własnej opinii „człowiek czuły i umiarkowany. Wszystkie żarty to żarty, cała reszta to eksperyment społeczny". Mikroblogger aktywny głównie na platformie X (jako@OldGamesAmirite). Dla nas pisze od 2026 roku.

Zdzisław Krasnodębski (Z innego..., s. 43), jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Ludwik Pęzioł (Czysta..., s. 30), autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Piotr Skwieciński (Grawitacja..., s. 40), jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

Mariusz Staniszewski (Test..., s. 34), autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

Jan Wróbel (Izrael..., s. 21), jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Od ponad dekady prowadzi Poranek Radia TOK FM. Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl b71987bd04

19–25 MARCA 2026

VI TYDZIEŃ MODLITW O OCHRONĘ ŻYCIA

„Z MARYJĄ I JÓZEFEM BRONIMY ŻYCIA"

- Zamów bezpłatny modlitewnik dla siebie lub wspólnoty albo pobierz i wydrukuj rozważania.
- Zobacz jak zorganizować modlitwę w parafii.

Dołącz do modlitwy za życie

Informacje, rozważania i formularz zamówienia na **www.tydziendlazycia.pl**

Intencje: 19.03 Za rodziców i wychowawców (Uroczystość św. Józefa) / 20.03 Za dzieci i młodzież / 21.03 Za matki i ojców spodziewających się narodzin dziecka / 22.03 Za lekarzy i farmaceutów / 23.03 Za polityków / 24.03 / Za chorych i osoby z niepełnosprawnościami 25.03 / Za dziennikarzy i ludzi mediów (Dzień Świętości Życia)

Organizator: Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka

Patronat honorowy: Komitet Obrony Demokracji KODR

Partnerzy: Watykańska Fundacja Jana Pawła II; Diakonia Życia Ruchu Światło-Życie; Rycerze Kolumba; Stowarzyszenie „Rycerstwo Niepokalanej" w Polsce; Akcja Katolicka w Polsce; Katolickie Stowarzyszenie Pielęgniarek i Położnych Polskich; Fundacja Guadalupe

Patronat medialny: TRWAM; Radio Maryja; Nasz Dziennik; idziemy; Tygodnik Solidarność; Do Rzeczy; niedziela; STACJA7.PL; Trwajcie w miłości; tysol.pl; Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl b71987bd04

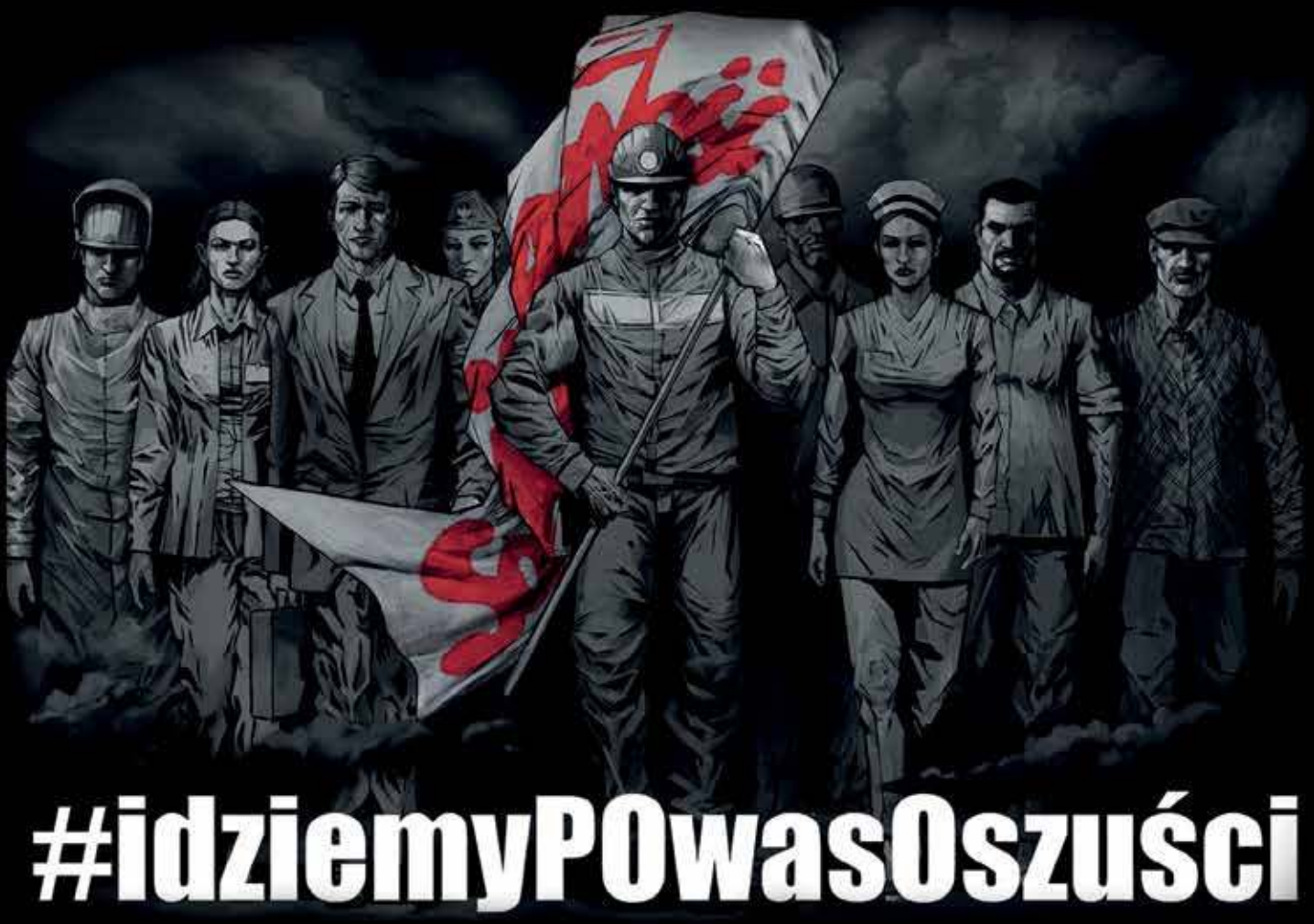

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności